Nr. 49 Rok 5 Kraków, dnia 3 grudnia 1944. 40 gr.

Ilustrowany
RJER POLSKI



ŚWIĘTY MIKOŁAJ WŚRÓD GRZECZNYCH DZIECI

Fot. Borek



Fot, SS. PK. Bogner, Mielke, PK. Demmer TO, Transozean 2.



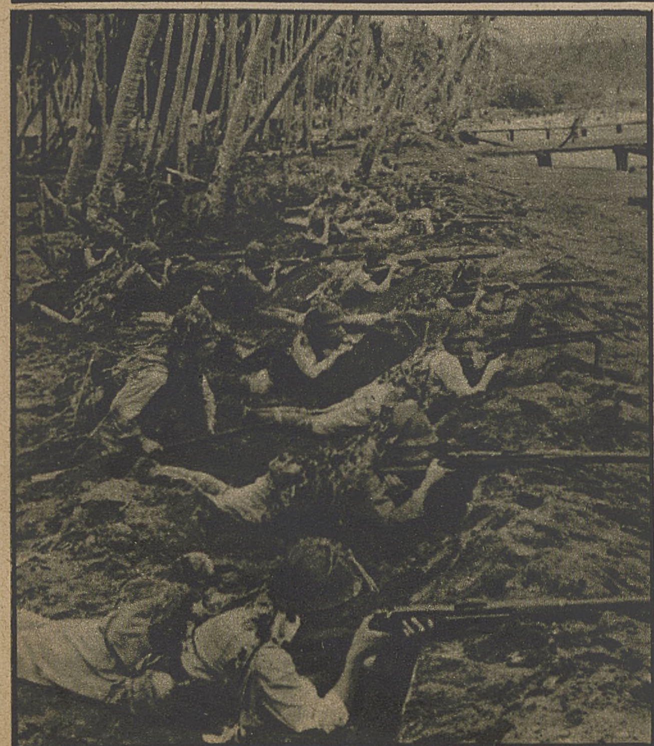
Powyżej:
NA WSCHODZIE
Po jednej z wielkich bitew pancernych na Wschodzie leżą rozrzucone dookoła na pobojowisku zniszczone czołgi sowieckie. Siła eksplozji rozerwała większość z nich nieomal na strzępy.

Na lewo:
NA ZACHODZIE
Oddział niemieckich telegrafistów zakłada nowe przewody telefoniczne w jednym z miast na Zachodzie, które ucierpiało mocno w czasie ostatnich zaciekłych walk.



Powyżej: **GENERAŁ WŁASSOW PRZEMAWIA**
Na zebraniu inauguracyjnym Komitetu Dla Oswobodzenia Narodów Rosji, które odbyło w Pradze — przemawiał prezes komitetu, generał Włassow. Na prawo od niego: prof. Ru niew, na lewo generał-major Szilenkow i generał-major Truchin.

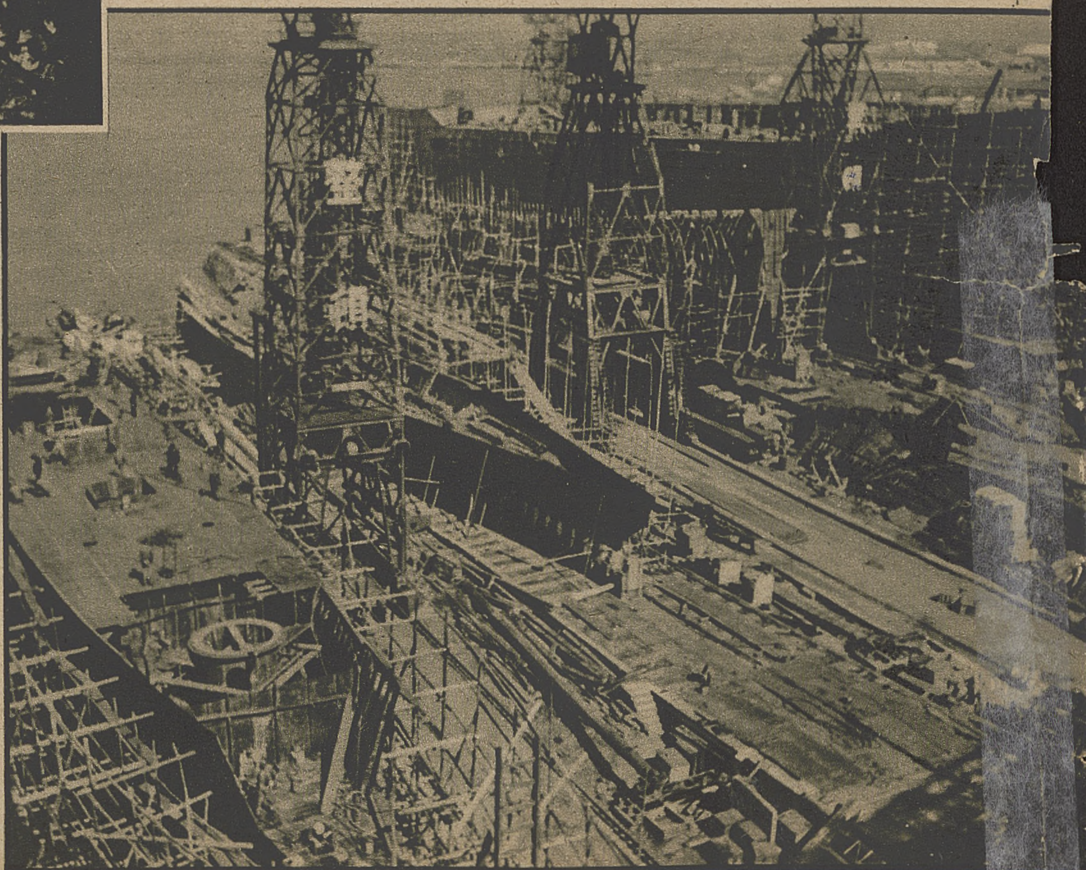




Powyżej:
WE WŁOSZECH
Ciężkie działo niemieckie w Apeninach podczas walki.

Na lewo:
NA OCEANIE SPOKOJNYM
Japońska piechota oczekuje ataku Amerykanów na brzegu jednej z wysp Pacyfiku.

Na prawo:
WZMOŻONA PRODUKCJA W JAPOŃSKICH DOKACH
Okręt za okrętem powstaje tu, by sprostać zwiększonemu obecnie zapotrzebowaniu japońskiej floty wojennej i handlowej.





Przyszłe mistrzynie igły





Nauka praktyczna w szkole krawieckiej jest, jak widać na zdjęciach, całkowicie oparta na pracy zawodowej. Najpierw rysuje się formy pojedynczych części ubrania, a później wycina się je w papierze. Wtedy dopiero następuje przykrawanie materiału.

Wojna wycisnęła swoje piętno także i na dziedzinę szkolnictwa polskiego w Krakowie, i to na różnych płaszczyznach, podobnie jak to nieuniknione także w innych dziedzinach życia. I tak musiały być zajęte liczne budynki szkolne na cele wojenne, a szkoły przesiedlone prowizorycznie zostały do budynków prywatnych. Mimo rozlicznych trudności władze szkolne zadają sobie trudu, aby naukę utrzymać we wszystkich zakładach naukowych i tak w szkolnictwie powszechnym jak i zawodowym dać uczniom solidną wiedzę i praktykę. Przed kilku dniami zwiedziliśmy polskie szkoły krakowskie. Spośród szeregu szkół rzemieślniczych krakowskich zwiedziliśmy państwową żeńską szkołę krawiecką, do której uczęszcza 400 uczenic, rozdzielonych na trzy działy, krawiecki, bieliźniarski i trykotarski. Do szkoły przyjmuje się dziewczęta w wieku 14 lat. Nauka trwa trzy lata i jest tak podzielona, że uczennice pobierają tygodniowo 34 godziny nauki praktycznej i 14 teoretycznej. Dzięki sprężystości kierownictwa i pilności uczennic wyniki nauczania są doskonałe. Prace, które można było tutaj zobaczyć zasługują na uznanie i nie stoją w żadnej mierze niżej poziomu prac krawczyń zawodowych. Obecnie sporządzają uczennice ubrańka i płaszczyki dla dzieci warszawskich. Materiałów na wyrób dostarcza RGO. W ten sposób nauka łączy się szczęśliwym trafem z dziełem ulżenia nędzy ludzkiej. Prawie przed naszym przyjściem „opuściło" szkołę sto ubrań dziecięcych, a przyszłe mistrzynie pracują teraz nad nową serią. Każdy „kawałek" opracowywany jest z nadzwyczajną troskliwością i nosi na sobie indywidualne cechy pracy poszczególnych uczennic: hafty ozdobne. Widać z tego, że wychowanki kochają swój zawód, a praca sprawia im radość.

Interesujące są sporządzone przez same uczennice środki poglądowe, na które składają się wszelkiego rodzaju wzory różnych prac krawieckich. Taki zbiór pomocy naukowych zawiera kawałki materiałów z wzorami haftów, pętelek, różnych szwów, plisów, pikowań, dziurek do guzików i koronek. Do tego dochodzą tabele kalkulacyjne. Wszystko to sporządzone jest w wielkim powiększeniu, aby mogło lepiej służyć celom nauczania.

Szkoła krawiecka jest podbudową do Zawodowej Szkoły Żeńskiej, której ukończenie daje możność złożenia egzaminu mistrzowskiego. Do tego zakładu uczęszcza obecnie 130 uczennic.





Fot. Borek

Powyżej:
To są również przykłady zręczności pilnych, małych krawczyń.

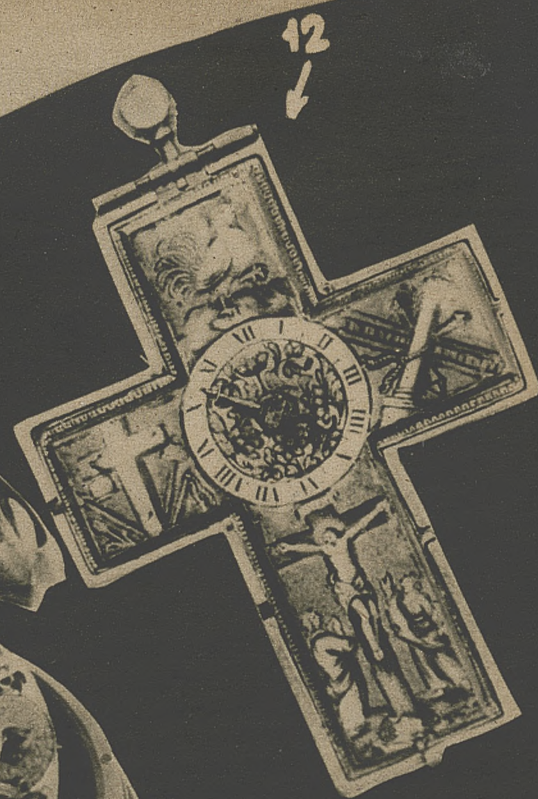
Na lewo:
To będzie płaszczyk dla chłopczyka z Warszawy.

Poniżej:
A tu powstaje sukienka dla małej Warszawianki.



CZASOMIERZE

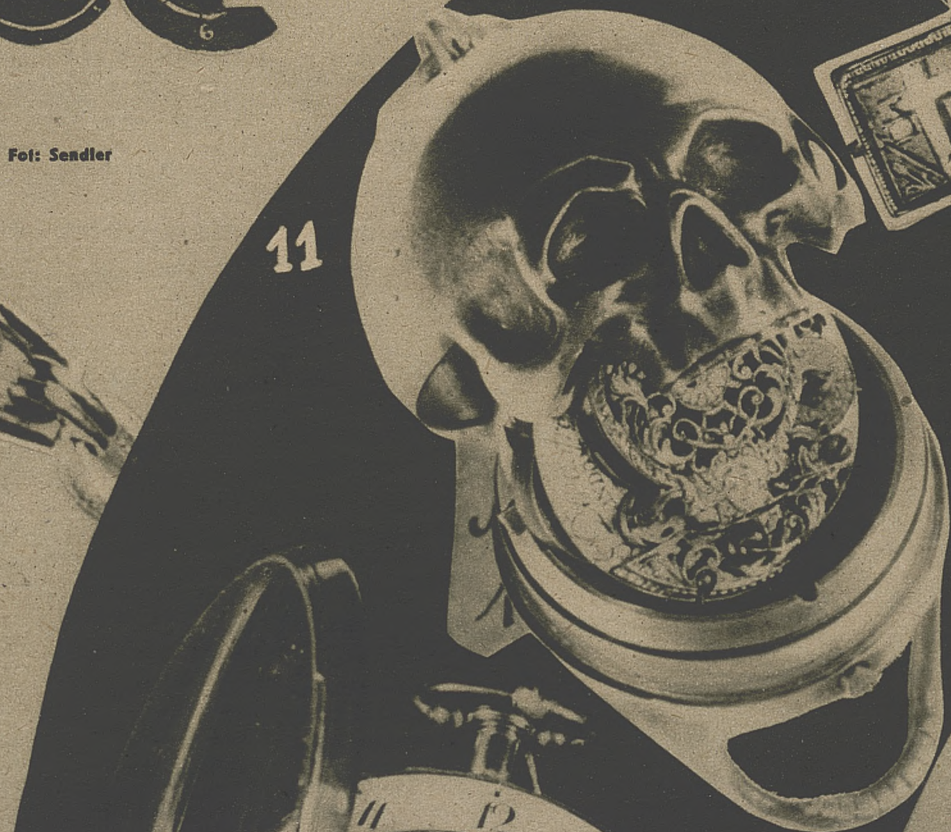
Na prawo: Zegarek w kształcie krzyża, pomyślany jako wisiorek na szyję, roboty złotniczo-emaliowej, pochodzący z końca XVII w. Werk cechy Abrahama Decarro, całość w wymiarach 4,7×3,5 cm.



Fot: Sendler

Obok: Modny, nowoczesny, markowy zegarek damski.

Na prawo: J. Debaufrea z Londynu zegarek dla zakonników z końca XVII-go wieku w formie trupiej czaszki — symbolu nicości wszystkiego — co ziemskie.

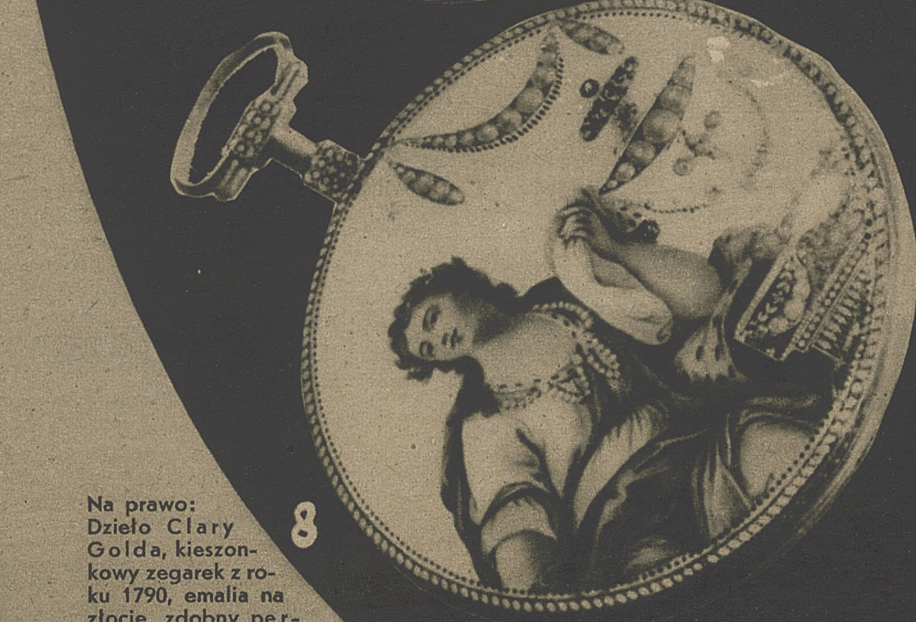


Na prawo: Złoty zegarek-automat, bijący godziny. Dwa amorki uderzają młotami w dzwon-kowadło, a dolne figury równocześnie obracają koło szlifierskie ostrząc nóż na kamieniu.





Nie sposób nam wyobrazić sobie dzisiaj życia bez zegarów, niemożliwością jest dla nas w ogóle normalne bytowanie bez ciągłego, podświadomego już nawet niejednokrotnie, drżącego nam na ustach i tkwiącego głęboko w umysłach naszych niemal od dzieciństwa pytania: „która godzina?" Z usprawnieniem dziedziny komunikacji, że wzrastającym wciąż tempem życia i zajęć zawodowych, z rozwojem przemysłu i handlu, czas — dokładny jak najbardziej czas, stał się postulatem pierwszorzędnej wagi, a nam wydaje się on tak bardzo dzisiaj naturalnym, że ani sprawy nie zdajemy sobie, iż tak nie było zawsze, że nie zawsze miano możność spoglądania na zegarek, by upewnić się, czy też daleko zaawansowano się w porze dnia lub nocy. Wiemy dobrze, że od najdawniejszych dziejów starano się mierzyć czas, używając ku temu celowi obliczeń pozycji względem siebie gwiazd i konstelacyj nocą, posługując się za dnia słonecznego zegarami słonecznymi, będącymi w najprostszej swej formie prętem rzucającym cień na tarczę z wypisanymi godzinami — czuwając gorliwie nad sprawnym funkcjonowaniem klepsydr, dwóch naczyń połączonych znacznym zwężeniem, przez które ustawicznie przesypywał się wolniutko



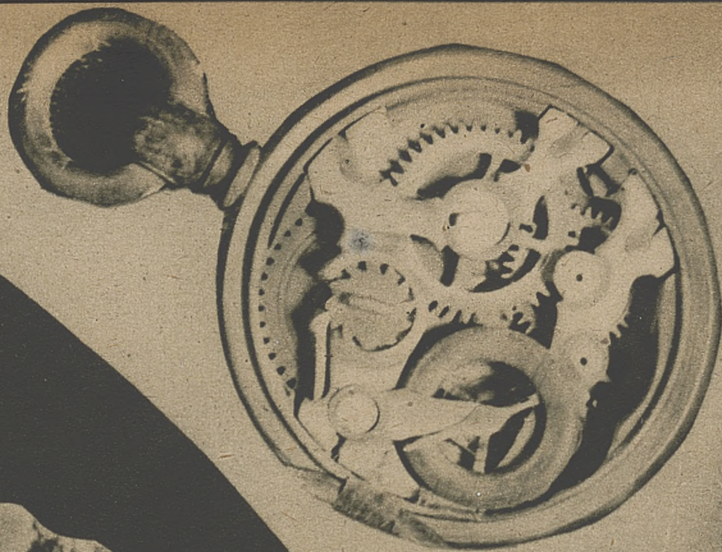
Na prawo: Dzieło Clary Golda, kieszonkowy zegarek z roku 1790, emalia na złocie, zdobny perłami i diamentami.

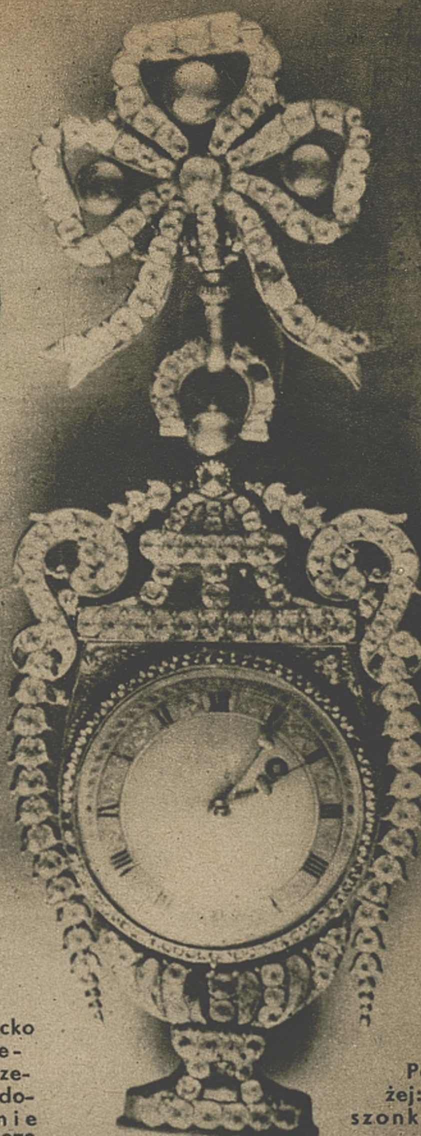
Na lewo: Zegar salonowy, postumentowo-szafkowy, wspaniała robota z XVIII wieku, bogata w inkrustacje.



Na prawo: (7) Kieszonkowy zegarek słoneczno-księżycowy z kompasem-godzinowskaźnikiem, roboty Liebharta Millera z Norymbergi. (Rok 1600)

Obok: Zegarek damski, łańcuszkowy, brąz emaliowany obustronnie, z końca XVI w.





Na lewo: Bransoleta-zegarek damski z „budzikiem" oryginalnie skonstruowanym. O oznaczonej godzinie ostra igła kłuła w rękę śpiącą. „Model" z roku 1850, zdobny w drogie kamienie i perły.

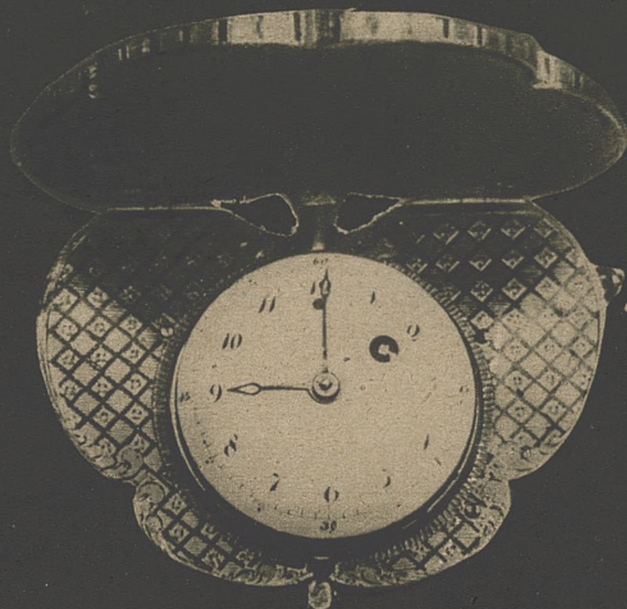
U góry: Stary zegar rosyjski z mechanizmem drewnianym.

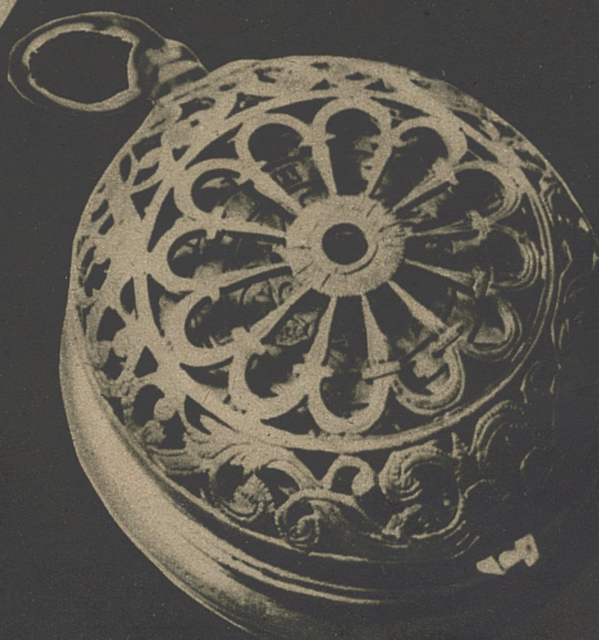
Obok: (3) Cacko francuskiego pochodzenia, prawdopodobnie z roku 1870, w kształcie motyla. (Tutaj otwarty.)

Powyżej: Kieszonkowy zegarek kształtu modnych „kominkowych", bogato wysadzany diamentami i perłami, z krótką dewizką.

z jednego w drugie piasek... To najstarsze i zarazem najpopularniejsze długi okres dziejowy sposoby mierzenia czasu, prymitywne to zegary ludzkości, jakkolwiek już nawet i cywilizowanych później narodów świata, ich czasomierze. Kolejno w późniejszym okresie, pojawiają się zegary o innej formie, o napędzie mechanicznym siły ciężkości, więc zegary wahadłowo-wagowe. Od nich dopiero zaistniało przejście do zegarów sprężynowych, więc już i „kieszonkowych" ostatecznie, szybko opanowujących świat, a ostatnio do zegarów elektrycznych oraz poruszanych zmianą ciśnienia barometrycznego, tzw. „zegarów wiecznych" — stanowiących swego rodzaju niejako „perpetuum mobile", nareszcie bodaj częściowo osiągniętego, a będących jeszcze nowością właściwie. W epoce odrodzenia, w drugiej połowie XV w. pojawiły się masowo zegary komnatowe o nazwie „pandutów", czyli „wahadłacze" albo „wagochronometry". Widywane bywały po dworach panujących i pałacach możnych, poszukiwane jako wciąż jeszcze przedmiot zbytku. Istotne i największe udoskonalenie w sztuce wyrabiania zegarów wprowadził wiek XVI. W jego to bowiem pierwszych latach wynaleziono zegarek kie-

Dokończenie na stronie 10





Na lewo: Wiek XVI, kształt zbliżony do „jajek norymberskich". Zegarek damski, kształtu bombonierki, koronkowej roboty jubilerskiej.

Na prawo: Zegar astronomiczny, stojący, konstrukcji Möllingera z Berlina, rok 1791, wykonany z drzewa przez Fiedlera.



Na lewo: Zegar stojący, brąz pozłacany, wsparty na dwóch smokach, z amorkami u góry po bokach, wyrobu Jana Gottlieba Graupnera z Drezna, rok: 1739.

WIEKÓW

NIEWIDOMI GARNCARZE

W ubiegłych czasach ciężki był los ociemniałych. Zdani byli przeważnie tylko na dobroczynność publiczną. Działało to deprymująco na ich samopoczucie, czuli się bowiem wytrąceni poza nawias życia. Obecnie wyucza się ich różnych zawodów, takich, jakie wykonywać mogą mimo kalectwa z pełnym pożytkiem dla ogółu. Pracują w szczotkarstwie, są stroicielami fortepianów, nauczycielami muzyki, itd., a jak widać ze załączonych rycin, znajdują wdzięczne pole pracy dla siebie również i w garncarstwie. Zdawałoby się, że tylko człowiek obdarzony wzrokiem potrafi na kole garncarskim formować kształtne naczynia, tymczasem i ślepiec świetnie to zrobić potrafi. Brak wzroku zastępuje mu wyczulony dotyk. Choć oczyma nie widzi swych wyrobów, wyczuwa dotykiem rąk rytmikę ich form, wypukłość i wielkość ich płaszczyzn, harmonię ich linii. Dzięki temu widzi kształt. Ryciny nasze przedstawiają dwu młodych mężczyzn, którzy nagle utracili wzrok. Jeden z nich był poprzednio ślifierzem, drugi dekoratorem i oto widzimy ich, w chwili, gdy po raz pierwszy w swym życiu zasiedli przy kole garncarskim. Pod kierunkiem życzliwych towarzyszek uczą się nadawać bryle gliny, umieszczonej na wirującej tarczy dowolny, przez siebie pomyślany kształt. Oto pochylili pozbawione wzroku głowy i pełnymi czucia rękami wyczarowują z martwej gliny cuda coraz wspanialszych, coraz pełniejszych życia i wyrazu form ku własnej radości i radości tych wszystkich, do których wzroku kształt stworzonych przez nich naczyń pełnią swego piękna przemówić może. I czujemy, że przy pracy swej zapominają o smutnym swym losie. Rozumieją, że mimo wszystko mają przed sobą drogę do powrotu na powierzchnię twórczego życia, że potrafią jeszcze tworzyć, i być użytecznym i nie tylko dla siebie i swej rodziny, ale i dla społeczeństwa.

Któż wie, może się przekształcą z czasem w arcymistrzów w swym nowym zawodzie. W każdym razie już teraz zatrudni ich chętnie którakolwiek z wielkich fabryk wyrobów ceramicznych i to jako pełnowartościowych pracowników.

Pomysł szkolenia ślepców w dostępnych dla nich zawodach został wprowadzony w czyn najpierw w mieście Halle. Obecnie pierwszeństwo w tych zakładach mają ociemniali inwalidzi wojenni. Wyniki dowiodły że można ociemniałym przywrócić utraconą pod wpływem kalectwa pewność siebie i uczynić z nich znów ludzi czynu, zdolnych do wykonywania zawodu i odczuwania radości z życia i pracy.

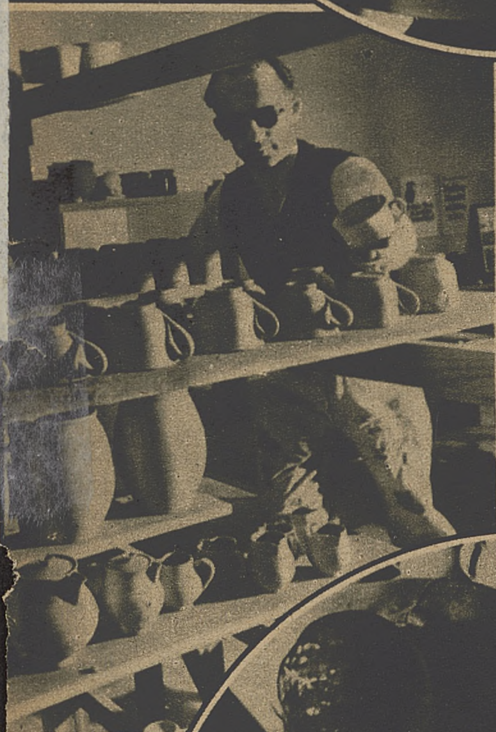


Z bezkształtnych brył powstają w dłoniach ślepców przepiękne naczynia.



Fot. Eurofot

Powyżej:
W uchwycie rąk, kierowanych przez miłą koleżankę, bezkształtna glina przybiera foremne kształty.







Powyżej na lewo:
Niewidomy czuje się coraz pewniej nawet i w składzie.

Powyżej:
Ślepiec przenosi z pomocą swej towarzyszki gotowe wyroby do składu.

Powyżej na prawo:
Z dumą i radością „oglądają" owi dwaj niewidomi żołnierze niemieccy inwalidzi wojenni wyroby wykonane przez siebie i swych towarzyszy.



Obok w kole:
Przy kole garncarskim. Młoda towarzyszka pracy kieruje jeszcze rękami ociemniałego.



Wczesny, zimowy mrok sączył się przez zamarznięte szyby. Smugi cieni wyrastające z kątów powoli zasnuwały wnętrze wiejskiej izby. Szary zmierzch stawał się coraz gęstszy, nasiąkał czernią — rozlewał się w noc. W kominie wesoło trzeszczało drzewo... Odblask ognia rozkwitł w mroku, jak purpurowy kwiat. Miłe ciepło objęło mieszkanie tkliwym, matczynym tchnieniem.

Tuż przy piecu majaczył zarys skulonej postaci, duże, niebieskie oczy wpatrywały się z niemym rozmodleniem w drgające płomienie; krwiste refleksy kładły się na szczupłej, mizernej twarzyczce, dając jej pozory rumieńców; drobne rysy zastygły w jakimś głębokim zamyśleniu. Przedziwna powaga rozlała się w twarzy dziecka. Przedwczesna dojrzałość nędzy wyryła na niej swe piętno. W tym momencie łączyła w sobie promienność dziecięcego marzenia z uporem dorosłego człowieka — zastygłym wokół zaciśniętych warg. Chwilami ciemniał błękit oczu, a z głębi źrenic tryskały iskry tłumionego gniewu i bólu.

Życie zdążyło już zasiać zło w tym wątłym, mizernym istnieniu.

A może to tylko odblask zła, które snuje się jak trujący czad wydzielany przez otoczenie?...

Przypuszczenie to natychmiast potwierdził fakt: za drzwiami cichutko, żałośnie zaskomlił pies. Dziewczynka błyskawicznie zerwała się i pobiegła do drzwi — otwierała je ostrożnie, powoli, aby nie skrzypiały (mógł ktoś usłyszeć z podwórza). Przez szparę drzwi wsunął się bezszelestnie jak cień — czarny, kudłaty pies; począł wić się u jej stóp, łasić się — lizał jej ręce i twarz. Nie skowyczał, nie piszczał, jakby wiedział, że nie może być słyszany. Ona przemawiała do niego najczulszymi słowami — z bezmierną tkliwością gładziła duży, niekształtny łeb. Pies drżał z zimna — przyniósł z sobą falę mrozu zastygłą wśród sierści. Z radością pobiegł w stronę komina i położył się na rozgrzanej podłodze. Ona przykucnęła przy nim — fala szczęśliwości migotała w głębinach jej oczu: oto nareszcie ukochany Cyganek może ogrzać się przy ogniu. Cały dzień marzł na dworze...

Blask ognia kładł się na zjeżonej sierści pieszczotą ciepła — załamywał się na wystających żebrach i zapadłym brzuchu. Gdzieniegdzie przecięta skóra świadczyła o sile uderzeń. Żałosne oczy wiecznie szczutego zwierzęcia spoczęły z bezgranicznym uwielbieniem na twarzy swej małej dobrodziejki— ...i patrzyli sobie długo w oczy: maltretowany pies i z łaski przygarnięta sierota. Dwie istoty złączone z sobą niedolą losu. — Po chwili zmęczone oczy psa opadły bezsilnie... przymknęły się znużone powieki z wyrazem ulgi i wytchnienia. Wyciągnął się w smudze ciepła i delektował się minutą odpoczynku.

Dziewczynka nasłuchiwała pilnie odgłosu kroków w sieni. Chciałaby te krótkie chwile przedłużyć w nieskończoność. Tak dobrze jej było trwać w przesłodkiej świadomości, że jest tu tylko z Cyganem; tak dobrze jest wsłuchiwać się w dzwoniącą ciszę i patrzeć w świetliste płomienie długo... długo...

Zapominała wtedy, że ma podarte buty, przez które co dzień mróz się wtłacza kłując niemiłosiernie igłami zimna; zapominała o strzępach ubrania wśród których igrał wiatr w każdy grudniowy poranek.

Gdzieś z głębi dziecinnej pamięci wyłaniało się mgliste wspomnienie: kiedyś... (o, bardzo dawno temu) lubiła tak samo siedzieć przy kominie i patrzeć w ogień — ale wtedy... była także mamusia — Zosia mimo woli uśmiecha się — tak... była mamusia. Była, i... poszła sobie do nieba... Pionowa zmarszczka przecięła biel czoła; myśl uporczywa usiadła wśród brwi.

— Dlaczego mamusia nie wzięła mnie z sobą? Przecież mówiła, że tak mnie kocha — była taka dobra, była taka... najlepsza! — Łzy zamgliły przejrzystość źrenic. — I była też zupełnie inna niż wszystkie tu „baby" — wydęła pogardliwie wargi. — Nie nosiła nigdy brudnego fartucha, ani chusteczki. Miała włosy takie jasne jak aniołki z obrazka.

Myśl przebijała się z trudem wśród mroków pamięci i nie mogła niestety! przypomnieć sobie dokładnie rysów matki. Zatarły się nieutrwalone w dziecinnej pamięci, zasypała je przestrzeń długich dni. Ale wspomnienie o drogiej, najlepszej mamusi nigdy się nie zatrze. Będzie trwało zawsze, jak cząstka serca, jak fragment najcudniejszej bajki, jak skarb schowany na dnie duszy — skarb strzeżony najwierniej — —

— — — — — — — — —

Na odgłos kroków w sieni, jak stado spłoszonych skowronków — pierzchnęły myśli. Cygan czmychnął bezszelestnie pod łóżko. Strumień zimnego powietrza wionął przez otwierane drzwi. Gospodyni wysoka i otyła wtoczyła się do izby niosąc pełny skopek mleka. Od razu zerknęła złym okiem w stronę komina:

— No, jak zwykle. Siadła sobie i siedzi, a robota stoi. A to nie wiesz próżniaku, że świniom trzeba kartofli ugotować? — krzyknęła grubym, ochrypłym głosem.

Zosia poderwała się nagle i poczęła bez słowa nastawiać kartofle. Dźwigała na wysoki komin wielkie garnki, aż krew nabiegła jej do woskowej twarzyczki z wysiłku. A gospodyni „przewalała się" z kąta w kąt, swym olbrzymim cielskiem i wciąż niestrudzenie gderała.

— Skaranie boskie z tym dziewuszyskiem! Czemu to Pan Bóg trzyma na tym świecie? Ani to do roboty nie zdatne, ani do niczego. Za jakie ja grzechy muszę się uganiać z czyim dzieckiem? Za darmo jeść daję, okrywam, a tu żadnej pomocy „z tego" nie mam. Poszłoby „toto" za matką i nie robiłoby komu kłopotu.

— Ja chcę iść za mamusią — odpowiedziała niespodziewanie Zosia.

Zazwyczaj nic się nie odzywała na długie perory gospodyni. Połykała łzy i starała się tylko uniknąć, jakimś cudem, bolesnych szturchańców twardej ręki.

Zdumiona gospodyni odwróciła się nagle i podparła się pod boki:

— Co za płupie dziecko! — kiwała głową. — Chciałabyś żeby cię zakopali do ziemi?

Zosia spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami:

— Nie, ja chciałabym iść do nieba — odpowiedziała poważnie.

— Do nieba? O, rety! Trzymajcie mnie bo umrę ze śmiechu — trzymała się za obwisły drgający w podrygach wstrętnego chichotu — brzuch.

Śmiała się na całe gardło i wykrzykiwała:

— Prosto do nieba zachciało się iść temu brudasowi. A dyć, św. Pieter na łeb by cię stamtąd zrucił. Takich tam jeszcze brakowało!

— Mamusia się będzie o mnie modlić, żeby mnie Pan Bóg wziął do nieba — rzekła dumnie.

— Matka się będzie modlić? — pytała szyderczym głosem. — A niech się tam modli z Bogiem. Tylko jakoś butów nie może ci wymodlić — śmiała się nieprzyjemnie, zgrzytliwie.

— Właśnie, poprosi św. Mikołaja, żeby mi przyniósł buciki i sukienkę. Powiedziała mi to dzisiaj w nocy — mówiła Zosia z błyskiem w oczach.

Gospodyni zamilkła. Zamyśliła się.

— Już jak ta ja ci butów nie kupię, to ci żaden św. Mikołaj nie przyniesie — dodała po chwili.

Chodziła chmurna i wzdychała ciężko. Może sumienie odezwało się w zatwardziałym sercu, jeśli w ogóle można przypuścić, że miała serce.

— Idź-no tam zobacz, czy się moja Teosia nie odkryła. W pokoju zimno, może się przeziębić — powiedziała już łagodniej.

Zosia weszła w ciemność pokoju. W mroku majaczyła odkryta noga Teosi. Zacisnęła zęby, postała chwilę i wróciła do kuchni.

— A niech się tam przeziębi — myślała ze złością.

Dzisiejszej nocy nie mogła zasnąć. Jedna, uporczywa myśl snuła się po rozpalonej głowie: — Ach, żeby św. Mikołaj przyniósł jej buty! Żeby jej cośkolwiek przyniósł! Chciałaby przekonać tę podłą gospodynię, że jednak mamusia uprosiła św. Mikołaja.

A może by tak wyjść w nocy, aż tam, het pod las (skąd na pewno św. Mikołaj przychodzi)? — zbawienna myśl olśniła ją.

O, tak. Pójdę na pewno — snuje myśli gorączkowo. — Spotkam go na drodze. Będę go prosić... prosić... Przecież on jest na pewno dobry (widziała raz na obrazku) — dziadek siwy i uśmiechnięty. Aniołki niosą za nim pełne kosze podarunków. Może się zlituje...

W cudnym śnie tej nocy widziała mamusię, która przyszła do niej wraz ze św. Mikołajem. — Boże, Boże, co za szczęście! Pełny, wypchany koszyk. Radość, radość bez granic — tylko... mamusia uśmiecha się smutno... tak bezbrzeżnie smutno... Zosia otwiera koszyk i... powiał na nią chłód — w koszyku był tylko śnieg... Przykre, bolesne przebudzenie — —

— — — — — — — — —

Gospodarz Jan zanurzał się z błogością w toni spokojnego snu. Po chwili począł chrapać zwyczajem ludzi ciężko spracowanych, którzy momentalnie zasypiają. — Gospodyni nie spała. Myślała o tym co kupi swej Teosi na św. Mikołaja. — Jedyna przecie — myślała z czułością — powinna mieć czego zapragnie. A może by jej tak kupić tę zieloną sukienkę w czerwone zygzaki pięknie wyszytą, com w oknie kiedyś widziała? Albo nie. Sukienkę kupię jej na lato. Może lepiej futerko z niebieskich królików? Oj, byłoby jej też w tym ładnie, było... Uśmiecha się do swych myśli i szturcha męża:

— Ej, stary! cóż tak śpisz?

— Co? — wymamrotał rozespany Jan.

— A dyć nie śpij tak. Wyśpisz się jeszcze.

— Co chciałaś? — zapytał przytomniej.

— Cóż my naszej Teosi kupimy na św. Mikołaja? Przecie to już pojutrze...

— A, kupuj co chcesz — odwrócił się niecierpliwie na drugi bok.

— Taki z ciebie ojciec? Nawet nie pomyśli o dziecku. Dziecko palta nie ma na zimę, a on nic. O, mój ty Boże! Co za ojciec? — westchnęła z patosem.

— Jakto nie ma palta? Przecież jej kupiłem w zeszłym roku.

— E, takie tam palto — odburknęła wzgardliwie. — Nie widzisz jak to dzieci w mieście chodzą? Wszystkie futerka z królików...

— Czyś ty babo oszalała? Inne dzieci boso chodzą, jeść nie mają co, a ty o futrach będziesz w wojnę myśleć! — zezłościł się na dobre.

Pożałował za chwilę tego odezwania. Wpadła w taką furię, że aż się przeraził. Z jej ust popłynął wartki potok niewyczerpanych słów:

— O, Boże czym ja rozumu nie miała, żem za takiego poszła? Za jakie grzechy tak cierpię?! Dałam swojemu dziecku ojca potwora! Własnemu dziecku by wydarł, a przybłędzie dał. Boś na pewno to miał na myśli, że Zośka nie ma butów. Dam jej swoje, te stare, niech chodzi. Nowe jej będę kupować. Jeszcze czego? Dosyć jej za darmo jeść daję i jeszcze będę na nią ciężko zapracowane pieniądze wydawać...

— Cicho być! Obudzisz Teosię — mitygował ją. — Przecież wiesz, że Zośka nie jest byle jakie chamskie dziecko. Jak nie będzie miała butów, to się zaziębi i umrze. A wtedy — bierz sobie na sumienie sierotę... Takie to delikatne jak i jej matka była... Z panów pochodzi — z miasta. Matka na fortepianie umiała grać podobno. Bardzo bogata była, jak jeszcze ze swoim chłopem siedziała. Nędza ją później do grobu wpędziła, jak musiała od niego odejść. Drań podobno był. — Dziecko osierociła, między obcymi zostawiła. Ojca nie wiadomo gdzie szukać. My możemy ją utrzymać, bo Bogu dziękować jest na to. Nie można sieroty krzywdzić.

— A co ja jej krzywdę robię? Nie daję jej jeść, nie okrywam? Nago przecie nie chodzi. Która by tak chciała z obcym dzieckiem się uganiać? To ja jej winna, że miała ojca drania a matkę głupią? Czego uciekała od chłopa jak był bogaty i dobrze jej przy nim było. Nie wyganiał jej przecież, a że z drugimi latał, to i cóż? Każdy poleci. Tyś t nie od tego, a ja jednak muszę przy tob siedzieć i mordować się — westchnęła. A jak już uciekła — ciągnęła dalej — to p winna nabrać tyle pieniędzy, żeby do koń życia wystarczyło. A ona głupia w jedn sukience uciekła. Myślała, że tak łatwo n życie jest zarobić...

— Na boskim sądzie kobieta — zgromił ją ostro. — Nie twoja rzecz ją sądzić.

— A niech ją tam Pan Bóg sądzi, że zostawiła dziecko sierotę na mój kłopot — westchnęła nabożnie.

Jan widząc, że żony nie przegada — dał spokój. Machnął ręką i odwrócił się do ściany. Z natury był spokojny i zgodliwy. Nie lubił wszczynać kłótni.

— — — — — — — — —

Zosia nie śpi — patrzy w noc. Nadsłuchuje, czy gospodarze już śpią. Och, jeszcze nie — wzdycha. Słyszy jakieś szepty. Dr z niecierpliwości. Czuje gorąco w skroni w policzkach. Serce bije gwałtownie w siach. Rozdygotane pulsa wzmagają go kowość myśli. Wir najsprzeczniejszych u huczy w rozpalonej głowie. Z każdą ch wzmaga się jakiś dziwny niepokój. Sze otwarte oczy spojrzały w okno, za któ ponuro majaczą drzewa, jak straszny, k marny sen. Wiatr chwieje rozpaczliwie gimi gałęziami i rzuca wielkie cienie na ś ny. Cienie drgają konwulsyjnie, peł przyczajone, rozchodzą się i zlewają two jakieś ogromne, potworne postacie o ol mich, wyciągających się łapach.

Zosia przymknęła oczy i schowała w przerażeniu pod koc. Strach wtłoczy przemocą do gardła i dławił... dła Łzy bezwiednie płynęły z oczu, stacza

Dar na świętego Mikołaja

Co roku śnieg ziemię bieli! Co roku wraca Legenda...
i my czekamy — co roku! — na złudne, pragnione Szczęście —
lecz biada temu, co duszę marzeniu o nim zaprzedał,
bo Los je ukrył zazdrośnie i przybił ciężkie pieczęcie!

Świat dziecka łatwo wypełnić: cackiem z piernika lub cukru...
słodkim szelestem cukierków... zabawek naiwną krasą...
lecz temu, co zdążył dojrzeć oblicze życia i smutku
najbardziej srebrzyste śniegi w oczach czernieją — i gasną.

A jednak — — co rok czekamy! co rok myślimy: dziś może...
że przyjdzie nasza Legenda i też nam da coś, jak dzieciom:
radość utkaną z uśmiechów... ze słów... i łez... i ze spojrzeń,
i w naszej bezbarwnej pustce tęczowe bańki rozświeci.

Ja — czekam. Ty — pragniesz także. A cóż my wiemy o sobie?
Dziś znamy tylko swe oczy i mamy serca domyślne,
a może ów hojny biskup i dla nas coś przysposobił:
przez szumnoskrzydłe Anioły czekane szczęście nam przyśle...

Ufnością wyjdźmy naprzeciw — w drgające zimowe iskry.
Niech będzie jasno od spojrzeń (może od śniegu..:) dokoła!
Dzisiaj świat cudów i pragnień stał się dosiężny i bliski
więc może dziś da nam Szczęście stary poczciwy Mikołaj...

M. A. HESSEL

szybko po zbladłych, wyschniętych policz-
…ach. Dłonie zaciskały się kurczowo, całe …ało drżało, jak w febrze. Brakowało odde…hu pod przykryciem … łzy paliły … Prze…ażająca cisza szumiała w uszach.

Niespodziewanie na zmęczone powieki spłynął sen —

O którejś godzinie nocy obudziło ją przeznaczenie:

…warła oczy i momentalnie przypomniała …, że to właśnie dziś ma wyjść przed św. …łaja. Przestraszyła się, że może za długo …pała, lecz jedno spojrzenie w okno uspo…oiło ją. Było ciemno. A więc noc nie minęła …ze — nie będzie za późno.

…pomniała o wieczornym strachu. Ubie… się z pośpiechem.

Cichutko, na palcach skradała się do drzwi.

Otwarła … skrzypnęły lekko — znieruchomiała … ale żaden odgłos nie odezwał się za drzwiami. Odetchnęła.

Wymknęła się na dwór. Kilka szybkich …roków przez podwórko, skrzyp furtki i … rozległe, śniegiem zasłane pole. Nigdzie ni śladu miedzy — jedna olśniewająca w swej nieskalanej bieli — płaszczyzna. Wśród granatowych dali nieba, żegluje wspaniały w swym majestacie — księżyc. Daleki, lodowaty, olbrzymi dysk rzucony między gwiazdy. — Błękitnawo-perłowy krąg duma wśród bielejących obłoczków.

Srebrzyste przędziwo blasków rozsnuło się w zaczarowanej przestrzeni.

Śnieg się skrzy — —

Migotliwe błyski zapalają się i gasną — drgają w fali światła. Pył gwiazd trwa zastygły w szafirowej toni nieba. Srebrne zakosy mlecznej drogi snują się jak mgły — —

A księżyc wciąż prószy blaskiem i mrozem.

Lecz Zosia nie czuje chłodu. Patrzy z zachwytem w otchłanne, bezkresne szafiry wyhaftowane srebrem gwiazd.

Promienie naświetliły jej twarz. Była skupiona i skrzepła jakimś dziwnym zamyśleniem, jakby ją zamroził w nieruchomość czarodziejski blask księżycowy. Śledziła ruch chmurek o naświetlonych rąbkach i myślą chciała przeniknąć ich puszyste nierzeczywiste jakieś i jakby nieziemskie istnienie.

— Och, jak tam musi być pięknie w niebie — wzdycha biedne dziecko. — A może mamusia płynie na którejś z tych chmurek? Może patrzy na mnie i woła, tylko ja nie mogę usłyszeć? Niebo jest tak bardzo wysoko, że tylko ptaki mogą tam dolecieć … Mamusia opowiadała kiedyś taką prześliczną bajeczkę o skowronkach co śpiewają u stóp Boga. Ale dlaczego stamtąd wieje takie zimno? Wzdrygnęła się. W niebie zawsze powinno świecić słońce, aby wszyscy mogli chodzić boso i nie musieli nosić podartych butów. Spojrzała na swe nogi i poczuła, że są zupełnie skostniałe. Po prostu bolał każdy krok. Zapadała się w śnieg, potykała na zmarzniętych grudach, ale wciąż szła przed siebie, na przełaj, w stronę lasu. Wypatrywała w dali, czy nie zobaczy gdzie św. Mikołaja. Lecz pusto było i cicho, tylko śnieg skrzypiał pod zdrętwiałymi stopami.

Szła i szła … a las wciąż był jeszcze daleko. Zdawało jej się, że wcale się do niego nie przybliża. Im dalej szła, tym zaspy na polach były coraz większe. Zapadała się w nie, co chwila traciła równowagę i upadała w śnieg.

Mróz począł się bezlitośnie wciskać pod strzępy ubrania. Nogi zesztywniały z zimna tak, że nie mogła iść dalej. Zabrakło jej sił. Zaczęła z cicha popłakiwać. Poczuła się nagle bezradna, dziwnie samotna i maleńka w tym wielkim, pustym polu.

Obejrzała się za siebie — nie było już widać chaty. Zakryła ją mgła oddalenia. Las był wciąż daleko, ciemny i obcy.

Wokoło tylko śnieg … śnieg … i mróz przejmujący do szpiku kości. Nogi stały się sztywne, jak kołki — jeszcze jeden krok, i … moment zapadania się w puszysty, bezdenny śnieg, nawiany w jakimś dole.

Chwila śmiertelnego strachu, jakiś trzask głuchy, ale mocny pusto zabrzmiał jej w uszach. Ostry ból w nodze i … wszystko nagle zawirowało w oczach i równie nagle zastygło, unicestwiło się w mroku.

Jakieś cienie przecięły nagle biel przestrzeni, rozwijały się i kurczyły, rozsypywały w drobne kolorowe płatki, albo znów zlewały się w jedną, olbrzymią, gęstniejącą czerń.

Długie minuty zupełnej niewiedzy — nieprzytomny bezruch … a mróz kładzie się kamiennym ciężarem na wątłe, słabe ciało.

Daleki księżyc wciąż płynie wśród lodowatych białych chmurek —

Obojętnie patrzy, jak w śniegu kostnieje maleńkie, nieważne, nikomu nie potrzebne — istnienie.

Jakaś tlejąca jeszcze wątła iskierka życia podniosła na chwilę ociężałe powieki. Zdziwione, szklano połyskliwe oczy, dawały niebu ostatnie spojrzenie gasnących chwil.

Nie mogła zrozumieć co się z nią stało — przypominała sobie ostatnim wysiłkiem, gdzie się znajduje. W pewnej chwili doznała przejmującego uczucia, że wokoło zaszła jakaś zmiana nieuchwytna, a groźna. Nie zdawała sobie sprawy, co to mogło być, czuła tylko, że chłód wspina się coraz wyżej, że wżera się coraz głębiej … Podchodzi w głąb piersi. Chciała podnieść głowę, lecz ta stała się tak ciężka, że przechyliła swym ciężarem ciało i runęła w śnieg.

Naraz, niespodziewany, duszący war rozlał się w sobie, rozpływał się wciąż i rósł … rósł … podchodził do gardła.

Jakieś dziwne ciepło zalewało ją falą i w tej chwili spłynęła w ostatni błysk świadomości myśl kojąca, jak dotyk czyjejś dłoni miłosiernej, co dosięgła jej z pustki i nocy —

Spoza kręgu życia przypływała nieziemska jasność, przestrzeń stała się zupełnie złota, a w głębi majaczył mglisty zarys czyjejś twarzy, coraz wyraźniejszy, coraz bardziej rzeczywisty, bliski — kochany!!!

— Mamusia, mamusia — jak cud wyłania się myśl. Chce wymówić to najdroższe słowo i … nie może — wargi nie chcą się poruszać — a mamusia się tak uśmiecha … tak uśmiecha …

Gdzieś odezwał się odgłos dalekich dzwonów — dal wybłękitniała, a z głębi dali zbliżał się … św. Mikołaj! — uśmiechnięty, siwy staruszek. Za nim w wielkich koszach pucołowate aniołki niosą tyle … tyle podarunków —

Łzy rozczulenia, ślepiące, wielkie łzy napływają do oczu i … rosną, rozwijają się w nieprzejrzaną mgłę — nie widzi już nic, tylko czuje w sobie przedziwną błogość, przeogromną szczęśliwość.

Usypia … a matka czuwa przy niej — tak jak dawniej —

— — — — — — — — —

Zosia nie czuła już, że w mroku począł wirować chłodny, srebrzysty śnieg. Nie słyszała, że szumiał głosem wielkiej pustki, pustki kołyszącej się leniwie w przestrzeni białych, bezkresnych pól.

Pełzał nieustannie, jak setki niezmordowanych, nerwowych palców drgających w nieustannej pracy przykrywania ziemi.

Lśniące, gwieździste płatki utkały Zosi szybko ostatnią, prześliczną sukienkę — dar św. Mikołaja.

ROZCZAROWANIE

Pociąg miał ruszyć za osiem minut.

Pan Pławny zajął miejsce w maleńkim przedziale III klasy, przejrzał się w lusterku kieszonkowym i spojrzał na peron.

Ledwo wyjrzał pan Pławny przez okno, a już ukazała się na peronie młoda i bardzo przystojna pani, lecz przeszła tak szybko, że nie zauważyła rozkosznego spojrzenia i nie zdążyła oszaleć.

Pan Pławny wysunął głowę.

— He, he! Śpieszy się najspokojniej do pociągu. Pojedziemy razem. Ano cóż — dobrze.

Los owej damy przesądzony był. Gdy pociąg ruszył, pan Pławny obejrzał w lusterku swój profil, podkręcił wąsik i zaczął przechadzać się po wagonach.

Przystojna pani jechała w następnej separatce III klasy z tłuściutkim dwunastoletnim uczniakiem. Na Pławnego, który wszedł do jej przedziału nie zwróciła żadnej uwagi, nie bacząc na to, iż nasz don-żuan ukłonił się szarmancko i powiedział z iście paryskim szykiem:

— Pani pozwoli, że zajmę miejsce.

Na każdej stacji wychodził pan Pławny na peron i stawał profilem do jej okna. Lecz dama nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Tylko tłusty sztubak przyglądał się Pławnemu i pożerał jabłka. Rozmarzone spojrzenia don-żuana gasły na pucołowatych policzkach ucznia.

Pan Pławny zamyślił się.

— Trzeba tu będzie zastosować subtelną psychologię. Inaczej nic nie zrobię. Co do mnie, to nie lubię w kobiecie macierzyństwa. Jest to cecha zwierzęca. Jeżeli jednak ta kobieta kocha swe dziecko aż do tego stopnia, że przez cały czas karmi je jabłkami (bodajby pękł ten smyk), to fakt ten daje mi klucz do jej serca. Trzeba więc zyskać sobie sympatię tego bąka — i matka będzie schwytana.

Pan Pławny zaczął działać.

Kupił w bufecie kilka jabłek i podał przez okno uczniowi.

— Kawaler lubi owoce, prawda? Zauważyłem to he-he-he! Proszę, niech kawaler je! Bardzo mi przyjemnie, że mogę się przysłużyć młodemu podróżnikowi...

— Dziękuję, — bąknął malec ponuro, wytarł jabłko o ubranie i odgryzł połowę.

Pociąg ruszył. Pławny ledwo zdążył wskoczyć do wagonu.

— Czy pani pozwoli — zawołał zdyszany — usiądę tu... przy tym miłym młodzieńcu, he-he!

Dama wzruszyła ramionami.

— Proszę.

Wyjęła książkę i zaczęła czytać.

— No kawalerze, będziemy na pewno przyjaciółmi, co? Daleko kawaler jedzie?

— Do Skierniewic, — mruknął sztubak.

— Boże! Co za niezwykły zbieg okoliczności! Ja także jadę najspokojniej do Skierniewic, spędzimy więc całą noc razem! Coś podobnego!

Ten niezwykły zbieg „okoliczności" przyjął uczeń dosyć obojętnie i zachował posępne milczenie.

— Czy kawaler lubi przygody? — Ja — ubóstwiam! Zawsze miewam jakieś niezwykłe awantury. Czy mogę opowiedzieć?

Uczeń milczał. Dama czytała. Pławny zamyślił się.

— I po co go ona na świat wydała? Przeszkadza tylko. Widzę, że ją najspokojniej krępuje obecność chłopca. Ale róbmy swoje. Serce matki zdobywa się za pośrednictwem dziecka.

— Miałem więc taki wypadek — zaczął opowiadać Pławny zwracając się do chłopca, a spoglądając ukradkiem na panią zagłębioną w lekturze — w Krakowie zakochała się we mnie pewna niewiasta i najspokojniej zwariowała z miłości. Mąż jej wpada z rewolwerem i krzyczy na całe gardło, że mnie zabije. Jak się kawalerowi podoba taka sytuacja? Co? Zaznaczam, że byłem tak dobrze zaręczony z pewną panną z wyższej arystokracji. Miała nawet własny magazyn sukien. Lecz ja, jako rycerz, nie mogłem się kompromitować, podbiegłem do okna i w przerażeniu rzucam się najspokojniej z pierwszego piętra na bruk. A ten morderca patrzy na mnie z góry. Sytuacja! Co? Leżę na trotuarze — a w oknie najspokojniej stoi mąż zwariowanej niewiasty z rewolwerem w ręku nabitym pięcioma kulami. Jestem bez wyjścia. Uciekam więc i wołam na policjanta.

Dama spojrzała na Pławnego.

— Po co pan chłopcu takie bzdurstwa opowiada?

I znowu wróciła do swej lektury.

— Acha! Zaczyna się! Już przemówiła!

— Jeść! — zawołał uczeń. — Czy prędko stacja?

— Jeść? Cudownie, kochany kawalerze! Zaraz będzie mała stacyjka, przyniosę kawalerowi kanapki. Świetnie! Kawaler kocha mamusię, prawda? Mamusię trzeba kochać!

Sztubak zjadł osiem kanapek, ponuro milcząc. Na następnej znów stacji Pławny latał po lemoniadę, a podczas dłuższego postoju zaprowadził malca na kolację, i przez cały czas perswadował mu, że mamusię trzeba kochać.

— Mamusia kawalera, — to coś niezwykłego! Gdyby tylko chciała, to mogłaby każdego skokietować!

Zdumiony chłopiec wybałuszał baranie oczy i jadł za czterech.

— Trzeba się śpieszyć kawalerze, bo mamusia będzie niespokojna.

Po powrocie do wagonu okazało się, że mamusia już śpi.

— Eche! Ale mniejsza z tym. Mam jeszcze kilka godzin przed sobą. Oddała syna w dobre ręce (ażeby ten smarkacz pękł!), sama zaś najspokojniej śpi. Za to jak wstanie odwdzięczy mi się. Ten tłuścioch zeżarł już za sto złotych. — Kawalerze, proszę, niech się kawaler położy. Proszę, nogi można na mnie! Nie szkodzi! Wyczyszczę potem spodnie benzyną. O — tak! Brawo!

Chłopiec spał jak zabity, lecz od czasu do czasu kopał pana Pławnego w żebra. Ten jednak znosił wszystko i usnął dopiero nad ranem.

A kiedy się obudził, zauważył, że pociąg stoi, mamusia zaś zniknęła. Pan Pławny zaniepokoił się i wyjrzał przez okno. A to co?! Mamusia stoi na peronie, koło niej waliza... Co?!!! Trzeci dzwonek?!!!

— Proszę pani! Co pani robi? Pociąg rusza przecież! Trzeci dzwonek! Pani się najspokojniej spóźni!

Konduktor dał sygnał, bufory stuknęły.

— Przecież już jedziemy! — wył Pławny, nie pamiętając tym razem o strojeniu czarujących min.

A pociąg zwiększył szybkość. Pan Pławny przypomniał sobie o malcu.

— Zapomniała pani o synku! Syn! Syn! — krzyczał Pławny przez okno.

Dama machnęła jeno ręką i odwróciła się. Pławny chwycił chłopca za rękę.

— Mamusia wysiadła! Mamusia poszła sobie! Mamusia zapomniała ciebie zabrać! Co to ma znaczyć? — krzyczał.

Chłopiec w bek.

— Czego mnie pan trzęsie? Jaka mamusia? Moja mamusia jest w Skierniewi-i-i-cach!

Pan Pławny siadł z przerażenia.

— Jakto... a ta pani?... Przecież mówiliśmy na nią mamusia... albo ja najspokojniej zwariowałem. Co?

— Hy-hy-hy-hy — beczał malec... — Ja nie mówiłem, że to mamusia. To pan mówił! Myślałem, że to pańska mamusia! Ja nie jestem winien! Może pan sobie zabrać swoje jabłka... Me-e-e...

Pan Pławny wstał, wytarł czoło i złapał swą walizę.

— Ohydny żarłoku! Będzie z ciebie oszust i kanalia, kiedy podrośniesz! Najspokojniej. Świ...

Trzasnął drzwiami i wyszedł.

Teffi-Filus

ŚWIERSZCZ

Napisał Stjepko Vrtor

Na długim źdźble trawy wygrzewał się świerszcz i teraz, kiedy Ewa poruszyła się, wskoczył na jej rękę.

— Świerszcz, świerszcz! — roześmiała się Ewa i spojrzała błyszczącymi oczyma na Iwana. Jej jasna radość zdawała się zlewać z blaskiem słońca. Jaskry pachniały, śnieżnobiałe stokrotki spoglądały żółtymi oczyma na skowronka, śpiewającego niestrudzenie w błękitnej przestrzeni.

— Dlaczego cieszysz się tak tym świerszczem? — zapytał Iwan.

— Dlaczego?

Zbliżyła swą drobną dłoń do oczu i spuściła ją zaraz, jakby wstydliwie. Odwróciwszy w bok głowę, szepnęła:

— Świerszcz jest stróżem ognia, przy którym siedzi dwoje szczęśliwych ludzi. W ciszę ich szczęścia ćwierka odwieczną pieśń o kominku, o zadowoleniu i o miłości. Gdzie panuje szczęście, tam jest i świerszcz.

Jakiś chrząszcz przeleciał ponad ich głowami, jego złocisto-niebieskie skrzydła zalśniły w promieniach słońca. Puszyste nasiona mleczu unosiły się ponad łąką.

Iwan oparł się na łokciach i spoglądał w zadumie na Ewę.

— Dlatego ucieszył cię świerszcz? — szepnął miękko.

Przy uchu Iwana rozległo się cichutkie, niby oddech: — Tak.

Powiedziała to Ewa, czy też był to tylko szelest trawy, albo brzęczenie chrząszcza? A może to tylko kret poruszył jaką grudkę ziemi?

A jednak to ledwo dosłyszalne słowo kazało złać się niebu i ziemi. Przepotężny wir ogarnął wszystko: trawę i skowronka, mlecz, chrząszcza i kreta; — i tylko ich troje pozostało na tym świecie: Ewa, Iwan i świerszcz w dłoni Ewy.

Spokój był wokół nich i w nich, a duszę Iwana ogarnął dreszcz. Jakby na niewidzialnym ołtarzu ofiarnym stał posąg Ewy, a przed nim płonęła jego miłość, niby znicz, oświetlający świętość, ale nie dotykający jej — —

W uroczystość tego spokoju rozległ się nagle krzyk i na skraju lasu pojawiła się kobieta w towarzystwie mężczyzny. Chciała swoim gardłowym okrzykiem wyrazić obronę, ale dyszący ciężko mężczyzna postarał się jej opór złamać. Krzyk przebrzmiał w odległym echu — — —

Ale odzywał się nadal w uszach Iwana, wtargnął do jego duszy, tamował mu oddech: czy i Ewa mogłaby wydać taki podniecający i burzący krew krzyk?

Czy mogłaby?

Jakże taki krzyk podniecał!

Nie!

— Tak, tak, tak!

Bo krzyk ów pulsował już w jego żyłach i domagał się odzewu. A ten był być może zupełnie blisko.

Być może.

To „być może" zaciemniło zmysły Iwana, niby rozżarzona chmura. Ciężka woń ziemi oszałamiała jego mózg, ciążyła na piersi, biczowała krew. Jego całe jestestwo zdawało się być jednym jedynym pragnieniem. Po jego wypełnieniu niech się dzieje, co chce.

— Iwan, cóż ci jest? O, Boże! — Ręce Ewy odpychały rozpaczliwie pierś Iwana.

Ale ów niedawno usłyszany okrzyk brzmiał wciąż w jego uszach.

Okrzyk tryumfu, maskowanego udawanym oporem — — —

I chociaż nie pochodził z ust Ewy — brzmiał nieustannie.

Niby bezosobowy zew rozbudzonej żądzy.

— Iwan... — westchnęła smutnie.

Niewiadomo skąd nadleciały barwne motyle i błyszczały cudnie w promieniach słońca — — —

I niebo i ziemia znów się rozdzieliły i wszystko wróciło na swoje miejsce: łąka i las, kret i chrząszcz, słońce i skowronek. I znów było wszystko jednością w istnieniu, w celu i działaniu: uroczym porankiem, rozsłonecznionym cichym szczęściem.

Tylko Ewa i Iwan nie należeli już do tej całości. Spoczywali każdy osobno w pachnącej trawie, drżąc z lęku i bólu. A między nimi leżał nieżywy świerszcz, z wyciągniętymi w górę, niby w niemym oskarżeniu, nóżkami...

Przełożył z chorwackiego T. Czabański

A myśli płyną...

FELIETON

Nie zawsze uszy nasze odbierają miłe wrażenia. Częściej słyszymy właśnie niemiłe: huk tramwaju, stukot przejeżdżającego wozu, krzyk dzieci hałasujących, skrzyp drzwi bicie młotem, zgrzyt pilnika, stukot silnika itp. Można zaryzykować twierdzenie, że świat zmysłu słuchu składa się w przeważającej ilości z nieprzyjemnych dla ucha hałasów. Mieszkając w mieście jesteśmy na to najwięcej narażeni. Tęsknimy do ciszy wiejskiej, chcemy powrócić do warunków życia naszych przodków, którzy żyli wśród natury i wyjątkowo spotykali nieprzyjemne odgłosy, np. głos zrzędliwej żony lub ryk dzikich zwierząt. Nieprzyjemnym było to co zwiastowało nieszczęście lub niebezpieczeństwo, to co było zgrzytem w codziennej harmonii.

Przyjemnymi były te głosy, które łączyły się z jego pracą, z jego zamiłowaniami, lub które wydawały przedmioty lub zwierzęta miłe człowiekowi. Śpiew ptaków należał do dźwięków najmilszych. Dlatego naśladując śpiew ptaków człowiek sam próbował swoich sił na polu muzycznym, śpiewając lub gwizdając, a wreszcie stwarzając sobie instrumenty muzyczne. Od prostych piszczałek i jednostrunnych lir przebył instrument długą drogę do dzisiejszych skrzypiec, fletów, trąb i fortepianów. A od naśladownictwa melodii ptaków do dzisiejszych symfonij droga biegła równolegle z rozwojem instrumentu. Dzisiejszy koncert symfoniczny to zespół połączonych wysiłków autorów, muzyków i fabrykantów instrumentów muzycznych.

Właśnie wybrałem się na koncert i słuchanie muzyki nastroiło mnie na rozważania, które tutaj przelewam na papier.

Niestety zanim mogłem się oddać przyjemności słuchania miłych dźwięków, musiałem znieść huk tramwaju, krzyki kobiet cisnących się do przeładowanego wozu, wreszcie hałas ludzi czekających na rozpoczęcie koncertu.

Słucham co ludzie mówią, jaki jest nastrój przedkoncertowy.

— Czy pani wie, że mojemu małemu już ząbki wychodzą?

— Panno Zosiu, chodźmy jutro do kina. Dają ładny program.

— Przygotowałam już na zimę beczkę kapusty. Ale boję się o ziemniaki, żeby nie zmarzły.

Nie mogę złowić rozmów o koncercie. Czyżby nie weszli jeszcze w nastrój koncertowy? Ale ba! Dziwię się, że nie słyszę rozmów o koncercie, a sam jestem zajęty badaniem o czym mówią inni. Chcę wywołać u siebie nastrój. Patrzę na estradę. Zapełniona muzykami i instrumentami. Tam na podwyższeniu basy, niżej flety, klarnety, oboje, trąbki, jeszcze niżej wiolonczele, skrzypce. Muzycy siedzą obojętnie, może nawet znudzeni.

Patrzę na program. Suita Peer Gynt, koncert Mozarta, symfonia Schuberta, uwertura do „Oberona" Webera. Nastrój nie nadchodzi.

Wchodzi dyrygent. Oklaski, ukłon. Pierwsze dźwięki. Przypominają się słyszane już kiedyś melodie. Tak, znam to. Obserwuję ruchy dyrygenta, muzyków. Zamyślam się. Myśli przelatują jak wicher. Myślę sobie: Jakby to odczuł człowiek, który pierwszy raz jest na koncercie? Na co by zwrócił uwagę? Obserwowałby pewnie, które instrumenty z kolei zabiorą głos. Łapię się na myślach nie związanych z treścią utworu. Dlaczego myślę o czym innym? Czy inni ludzie też tak samo? Przypomina mi się szkoła. Nauczyciel wyrywa mnie. Nie wiem o co chodzi.

— O czym ty myślisz? Uważaj chłopcze, bo będzie z tobą źle.

Rozumiem teraz, że można nie uważać, mimo że przeżycie interesujące. Przecież lubię muzykę a mimo to...

Ciekawym jak też reagują inni ludzie. Podsłuchuję.

— Ten tam w trzecim rzędzie od góry przed drugim z lewej basistą, to mój znajomy. Kupił mi bilety.

Czyli, że inni też. Patrz na salę. Wszyscy wpatrzeni w orkiestrę. Czy myśli ich też tak biegają jak moje? Wydaje mi się, że tak.

W tej chwili skończyła się pierwsza część suity. Chwila przerwy. Zewsząd odzywają się pokaszliwania, chrząkania. Słuchacze chcą widocznie ulżyć sobie, aby w czasie koncertu nie musieli. Zdarza się to na każdej krótkiej przerwie oddzielającej poszczególne części utworu. Nie klaskają, więc muszą to sobie wynagrodzić. Bo hałas musi być. Od czego jest przerwa? Za długo trwała przyjemność.

Dalszy ciąg koncertu. Już podchwyciłem znaną melodię. Znowu obserwuję ruchy muzyków. Myśl biega z przedmiotu na przedmiot, zapominam, że jestem na koncercie Tak mi się przyjemnie marzy przy wtórze muzyki. Muzyka pomaga do zapominania o troskach życia codziennego. Wybiegam myślą daleko. Trudno skontrolować swoje myśli, tak szybko biegną i zmieniają temat. Ale są to myśli przyjemne. Czyli, że muzyka uszlachetnia nasze myśli, odrywa nas od szarej i często nieprzyjemnej codzienności, wznosi wyżej.

Zdawało mi się dawniej, że zasłuchany, a raczej rozmarzony, nie zauważyłem jakiegoś szczegółu muzycznego, na który mi potem zwrócono uwagę. Wstydziłem się tego. Teraz już nie odczuwam wstydu. Wiem, że myśli tym przyjemniej biegną sobie, odległe od tego co się wokoło mnie dzieje, im przyjemniejszą jest muzyka.

Nie zazdroszczę recenzentom, którzy nie mogą sobie popuścić wodzy, aby pobujać w obłokach, lecz muszą obserwować, notować w pamięci: tu taki instrument ma głos, odbiera od niego melodię inny, tu jest napięcie dramatyczne, tam znów o pół sekundy spóźniła się waltornia...

Takie myśli mi nie przeszkadzają. I szczęśliwy jestem, że nie jestem recenzentem. Utraciłbym całą przyjemność słuchania koncertu.

Wychodzę zamyślony i milczący (jestem w towarzystwie). Ludzie wokoło rozprawiają o różnych rzeczach, śmieją się, opowiadają dowcipy. Widocznie inne natury — po otrzymaniu wrażenia szybko przechodzą na inny tor. Są i tacy, którzy na koncert przychodzą dla snobizmu. Nudzą się piekielnie. Woleliby posłuchać muzyki tanecznej. Ale nie wypada z tym się zdradzić. Na pewnym poziomie towarzyskim musi się czasem wysłuchać koncertu. Noblesse oblige. I wypada zachwycać się wszystkim. Mozart i Beethoven, Chopin i Moniuszko, Brahms i Debussy, Czajkowski i Szymanowski. W każdym znaleźć coś pięknego i chwalić albo rozprawiać nad jego walorami.

Ja nie mogę tak słuchać koncertu. Tym razem Mozart mi nie odpowiadał. Myśli nie biegły tak lekko. I trudno nakazać myślom: teraz uważajcie, bo Mozart, to nie to samo co Grieg, trzeba inaczej słuchać, z większą uwagą. Jestem pewien, że wielu ludzi myśli podobnie, ale nie powiedzą tego. Bo ich słuch podlega opinii.

I znowu wchodzimy w chaos nieprzyjemnych dla ucha zgrzytów, huków, krzyków. Po przyjemności musi nastąpić zgrzyt nieprzyjemny. Inaczej nie odróżnilibyśmy przyjemności.

Przypomina mi się dowcip o człowieku, który bije głową o mur.

— Dlaczego to czynisz?

— Aby odczuć przyjemność, gdy przestanę.

Tych kłopotów nie ma gąsienica, która głucha jak pień, po którym się wspina, odbiera tylko wrażenia czuciowe i wzrokowe?

Ale ma mniej przeżyć.

CZASOMIERZE WIEKOW

Dokończenie ze strony 5

szonkowy, stosując do poruszania wskazówek sprężynę. Był to epokowy wynalazek zegarmistrza Piotra Henleina z Norymbergi, skąd sekret wytwarzania takichże „jajek norymberskich" — jak owe zegarki ze względu na ich początkowy kształt zwano — przejęto do Włoch, gdzie już w drugim dziesiątku XVI w. sztuka ta doszła do znacznego rozkwitu.

Pomimo tego przed rokiem 1540 zegarki kieszonkowe mało były znane i na wagę złota cenione — bo też faktycznie artyści-złotnicy-zegarmistrze, mistrzowie miniatur emaliowych, snycerze i grawerzy współzawodniczyć zaczęli na dobre na polu zdobienia w drogie kamienie i klejnoty zegarków ze szlachetnych kruszców wyrabianych, przeważnie na zamówienia ludzi bardzo majętnych i podających najfantastyczniejsze pomysły w realizacji kształtów twórcom owych istotnych cudownie pięknych niejednokrotnie cacek.

Nie wiele jednak, gdy szczerze rozpatrzeć sprawę, pozostało jakoś kosztownych takich zegarków z XVI stulecia . . . Umieszczane w branzoletach i brelokach, klamrach, naszyjnikach i nawet pierścieniach, dostępne właściwie tylko sferom bardzo zamożnym, najosobliwsze w fantazji twórczej mistrzów rylca czy tygla, jak np. słynny zegarek wysadzany klejnotami w rączce wachlarza, własność królowej Bony, — może drogą robienia sobie z nich podarunków lub cichcem spieniężanych w finansowych opresjach — wywędrowały Bóg wie jakimi drogami z Europy w dalekie kraje.

Z biegiem czasu zegarmistrzostwo doskonaliło się coraz więcej i nadszedł okres zegarów-automatów, ulubionych i modnych zwłaszcza w drugiej połowie XVIII wieku. Ale oto teraz właśnie rozpoczęła się zawzięta walka kleru z mistrzami niesłychanie wysoko postawionej mechaniki zegarowej, prowadzona pod kątem widzenia „wprowadzania sił nieczystych, pomocy piekieł i szatana" w grę, określając zegarnistrzostwo jako kunszt Belzebuba!

Zaczęło się od słynnej afery neuburskiej, gdy niejaki Jaquet Droz z Lachandefeld, około lat pięćdziesiątych XVIII stulecia zrobił był dla króla hiszpańskiego Ferdynanda VI zegar stołowy, prototyp późniejszych „kominkowych", istne arcydzieło mechaniki, za które otrzymał olbrzymią na owe czasy sumę 500 luidorów i zwrot kosztów podróży obliczonych bardzo po monarszemu.

Po uderzeniu każdej godziny wychodził z budki zegarowej pasterz i wygrywał na flecie sześć różnych melodyj, poczym zjawiał się pies łaszący się do pasterza i szczekający tak naturalnie, że odpowiadały mu psy króla (historyczne).

Jaquet Droz stał się głośnym i poczęto nań spoglądać z zabobonną czcią i lękiem, dając mu potajemny przydomek „czarownika-maga-cudotwórcy".

Ciemny ogół, nie rozumiejący budowy mechanizmów sprężynowych, pomówił go wreszcie o konszachty ze złym duchem, co ściągnęło na Droza oskarżenie o uprawianie satanizmu i herezji z oparciem się o władze kościelne.

Jaquet Droz, widząc co się święci, a nie mając wcale ochoty iść na stos, nie wierząc zaś w znajomość rzeczy sędziujących w procesie Grandów, wyprosił u króla łaskawie dlań usposobionego o postawienie go przed ocenę „rzeczoznawczą" kogoś wysoce kształconego, a mianowicie samego Przewodniczącego Inkwizycji.

Podstęp, sprytnie pomyślany, uratował Droza. Potentat sądu duchownego w sprawach kacerstwa — ujęty zaufaniem „winnego" w jego szeroką wiedzę, chociaż prawdopodobnie nic a nic nie zrozumiał z długiego wykładu o fizycznych zasadach mechaniki i tajnikach ciekawej konstrukcji zegaru — przecież, dla zachowania powagi swej wysokiej godności, kiwając z namaszczeniem głową orzekł ostatecznie, że sprawa jest bardzo prosta i jasna jak słońce, że „wytwór rękodzielniczy" jest tylko arcyzręcznym pomysłem i nie ma nic wspólnego z czarami i szatanem, nie mijając się zresztą z prawdą.

Od tego wyroku rozwój zegarów-automatów mógł iść naprzód i poszedł też nadspodziewanie daleko. Zegarki naręczne, branzoletowe i brelokowe, medalionowe i naszyjnikowe, wszystkie były później prawie arcydziełami konstrukcji mechaniczno-automatycznej, miniaturową koncepcją trików sprężynowych dziś jeszcze wprawiając w zachwyt i zdumienie w zachowanych unikatach rzesze fachowców.

Wiek XX daleko odbiegł od owych dziejów.

„Jajka z Norymbergi" zmieniły gruntownie wygląd i postać — ale na zawsze pozostaną antenatami nowoczesnych chronometrów, boć one to zdobyły świat pomiarem czasu, problemem tak ważnym dla ludzi.

ROLNICY BEZ ROLI



Chłopi z kołchozu przy naprawie żniwiarek

(Fot. z „Światowida" z 10. VI. 1933 r.).

Bolszewizacja życia gospodarczego na obszarach wschodniej Polski, okupowanej przez czerwoną armię, zmierza konsekwentnie do wprowadzenia kolektywizmu, ściśle wedle wzorów kolektywizacji, przeprowadzonej w sowieckiej Rosji po roku 1917. Tu jak tam stosuje się te same metody i sposoby. W roku 1917 i w Rosji szafowano hasłem „cała ziemia dla chłopów", lecz wnet rozpoczęto walkę z tak zwanymi „kułakami", czyli z chłopami. Wypędzano ich z domów, konfiskując jednocześnie bydło, maszyny i inwentarz. GPU bezlitośnie szalało, tępiło całe wsie, mordowało mężczyzn, deportowało ich rodziny. Wkrótce nastąpiła kolektywizacja nawet i drobnych chłopskich gopsodarstw. Do roku 1933 uległo już kolektywizacji 93,5 proc. wszystkich gospodarstw rolnych, [illegible] 99,3 wszystkich terenów uprawy należało już do kołchozów [illegible]owchozów. W ciągu 10 lat przekształciła polityka przemocy [illegible]lionów gospodarstw rolnych w 242.000 zakładów kolektywnych.

»HALKA« W »STARYM TEATRZE«

Sobotnie przedstawienie Halki w „Starym Teatrze", jak w ogóle wszystkie nowe inscenizacje Halki, musi być potraktowane jedynie jako mniej lub więcej udały artystycznie problem odtwórczy, osiadający w duszy audytorium pewną cząstką wrażeń silniejszych. Wszak na Halce bywaliśmy już tylekroć, obserwowaliśmy ją w takiej lub innej obsadzie, znamy omal każdy jej takt muzyczny, umiemy omal na pamięć, na wyrywki libretto — nie tylko my recenzenci, ale ogół słuchaczy, w których piersiach nurtuje wyjątkowy pietyzm dla tego dzieła operowego, pietyzm przechodzący w spadku na pokolenia. Ten nasz żywy, wyjątkowy kult do Halki, rodzi bezpośrednio coraz to nowe, aktualne, coraz to wyższe wymaganie artystyczne, tak że odwaga wznowienia



Błogosławieństwo Stolnika. Scena z I aktu opery „Halka" St. Moniuszki. Od lewej: Zofia (Halmirska), Stolnik (Fołygo-Folański) i Janusz (Hiolski).

Halki musi istotnie gruntować się na realnych danych, podołających dość skomplikowanemu zadaniu, którego jawny cel — zadowolenie słuchaczy jest rzeczywistym sprawdzianem sukcesu. Jeśli publika, szczelnie zapełniająca salę, była z sobotniego przedstawienia Halki zadowolona, jak to z wielu zewnętrznych oznak, rzucających się w oczy, można było wnioskować, to należy to zapisać na karb w pierwszym dzędzie wykonawców, z których niektórzy — wzbili się na wyżyny prawdziwego artyzmu, tak dziś coraz rzadziej spotykanego.

Jako Halka zaprezentowała się Calma, stwarzając kreację w szczegółach, nawet pewnych dość oryginalnych w ujęciu, bardzo rozumnie i kunsztownie wystudiowana, oparta nie tylko na dużym zmyśle muzykalności, ale i na wyczuciu dramatyczności. Łączyła w sobie utalentowaną śpiewaczkę — głos jej równy, o miłym, zwłaszcza w momentach dramatycznych zabarwieniu, nie imponujący krzykliwą przesadą —



Scena z II aktu. Jontek (Perkowski) i Halka (Wiktoria Calma) na tle chóru. Fot. Borek

z doskonałą aktorką dramatyczną. Nic dziwnego, że Halka w jej interpretacji — dodać wypada, że wnosi na scenę urok młodości, co zawsze bywa mile widziane ze względu, że nawykliśmy częściej, spotykać w tej roli w nieco zaawansowanym wieku śpiewaczki — wywiera miłe — nawet duże wrażenie.

Jontek Perkowskiego wykazywał mniej wżycia się w rolę. Zapewne więcej uczucia — góralska dusza nie jest i nie była zazbyt twarda na uczucia — uczyniłoby tę rolę milszą, bliższą ludziom, odjęłoby trochę z tej sztucznej „amerykańskiej" sztywności, niewrażliwości. Głosowo partia omal nic do życzenia nie przedstawiała. Janusz Hiolskiego odznaczał się jakąś powściągliwością; trochę więcej uczuciowości, większa doza elementów ludzkich, a mniej demonizmu, nie raziłoby zupełnie. Takie ujęcie zazbyt wyraźne Stolnikowicza nie odpowiada uczuciowości słowiańskiej.

Halmirska w roli żony Janusza podkreśliła więcej uczuciowość, stwarzając miłą ze wszech miar kreację.

Stolnik Folański robił wrażenie człowieka zazbyt podeszłego wieku, co temperowało widocznie i temperament, którego ta rola mimo wszystko wymaga, i odbijało się ujemnie na wyrazistości dykcji, powodując zbyt wielką monotonność śpiewu. Obsada tej roli najbardziej niefortunna.

Kossowski w roli Dziemby wywiązał się z zadania zupełnie poprawnie.

Ewolucje taneczne zespołu Miszczyka wypadły bez przesady imponująco. Pełen werwy mazur — w niektórych miejscach spotęgowanie werwy byłoby pożądane — wspaniałe wprost odtworzenie tańców góralskich wywarło olbrzymie wrażenie i rozpętało huragany oklasków. Dyrygował S. Syryłło całkiem poprawnie.

KĄCIK BRIDŻOWY NR 5

CZĘŚĆ ELEMENTARNA

Przy grze bezatutowej wychodzi się również najstarszą kartą koloru licytowanego przez partnera, a jeśli tej licytacji nie było — należy wyjść czwartą (licząc od góry) kartą swego najdłuższego i najlepszego koloru. Jeśli jest to kolor „sekwensowy" należy wyjść najstarszą kartą tego sekwensu, lecz jeśli tylko „wiązany" — to jednak według reguły czwartej karty. (Np. dama, walet, 7, 6, 4 — należy wyjść 6-ką).

Ogólnie biorąc ślepe wyjście jest bardzo ważnym i trudnym etapem gry i częstokroć decyduje o realizacji zapowiedzi rozgrywającego.

Jak wspominaliśmy, rozgrywa ten, kto pierwszy zapowiedział kolor, przyjęty ostatecznie w licytacji.

Rozgrywający grę kolorową musi po obejrzeniu kart dziadka zrobić sobie dokładny plan gry, — obliczyć ile lew ma do oddania i od razu się zorientować, które z tych lew można by uratować, czy to przebitką na stole (u dziadka) czy to zrzuceniem niepotrzebnych kart na jakieś forty (czyli karty już wyrobione i biorące lewę), a to na tej zasadzie, że wolno przecież nie przebijać atutem. Zasadniczo pierwszą czynnością jest odatutowanie, czyli odebranie przeciwnikom atutów. Nie trzeba jednak zapominać o tym, że odbierając atuty przeciwnikom odbiera się je również sobie (u dziadka). Jeżeli zatem zachodzi wypadek, że własne atuty są potrzebne na uskutecznienie przebitki (np. na stole jest renons, czyli całkowity brak koloru np. karo i kilka młódek atutowych — w ręku zaś 2 młódki tegoż koloru karowego — należy te młódki przebić na stole i w ten sposób uratować te lewy) — to trzeba najpierw zużytkować swe atuty u dziadka, a potem dopiero odatutować.

Dla przykładu podajemy typową rozgrywkę, gdzie właśnie zachodzi przypadek ratowania lew przez przebitkę i zrzucanie:

Atu jest pik. A ma w ręce 3-go asa trefl, 2 młódki karo, 1 młódkę kier i 7 pików z asem, królem i damą. Na stole u (B) — 3 młódki pik (atutowe) 1-ty as karo, 1 młódka trefl i 5 kierów z asem i królem.

Zatem A ma do oddania 2 młódki trefl i 1 młódkę karo. Lewy te może jednak uratować, a mianowicie przed atutowaniem powinien zgrać asa trefl i wytworzywszy sobie w ten sposób renons treflowy na stole — swoje małe trefle z ręki (A) przebije atutami na stole. Potem dopiero, czyli po zużytkowaniu swoich małych atutów — odbierze atuty przeciwników. Następnie zagra młódkę kier, którą przebiję asem na stole, — zagra króla kier i zrzuci z ręki (A) 1 młódkę karo. W ten sposób nie odda ani jednej lewy. Poza tymi sposobami ratowania lew istnieje jeszcze wiele innych metod, między innymi t. zw. „impasy", czyli łapanie figur ale o tym później.

Po odatutowaniu należy rozgrywać swe długie i dobre (boczne) kolory i wyrabiać je, jeśli są niepełne. Przez cały czas rozgrywki pamiętać należy o dojściach do stołu i do ręki, oraz o licytacji, jaka była i z niej wnioskować o rozkładzie kart przeciwników.

Przy grze bezatutowej należy również przeprowadzać plan gry i z góry obliczyć ile lew jest do wzięcia. Kwestia przebitek i zrzucania odpada, gdyż nie ma atu. Szerszą uwagę należy tu zwracać na przetrzymania. Rozgrywać należy swe długie i dobre kolory, wyrabiając je, jeśli są niepełne. Pamiętać należy także o dojściach do ręki i do stołu.

Z d a r z a się czasami, że jeden z kontrpartnerów widzi ze swojej karty, iż licytujący zamówili zbyt wysoką grę i wskutek nieprzewidzianie złych rozkładów nie będą jej w możności wygrać. Może on wówczas powiedzieć „k o n t r a" i zakłada się tym samym ze stroną rozgrywającą o podwójną stawkę, że zapowiedziana gra nie zostanie zrealizowana.

Np. A rozpoczął licytację od pików i w rezultacie para AB zamówiła 4 piki. X ma damę, waleta, 10 i 9 pik, czyli matematycznie 2 lewy atutowe, a poza tym „singla" asa i króla trefl — również prawie na pewno 2 lewy — ma więc zatem 4 lewy, — czyli gdyby nawet partner jego (Y) ani jednej lewy nie wziął, para AB z jego karty leżeć musi „bez jednej". Wówczas X kontruje 4 piki. Odpowiedzią na kontrę może być ze strony rozgrywającej „rekontra", czyli zakład o poczwórną stawkę, że jednakże zamówiona gra zostaje zrealizowana. Np. w przytoczonym wyżej przykładzie rozgrywający A ma w ręce jedno tylko trefl; X mając tylko asa i króla tego koloru, nie spodziewa się vicerenonsu u A i liczy na 2 lewy treflowe, a weźmie tylko jedną. A wygrywa 4 piki; może rekontrować.

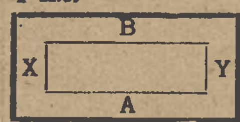
CZĘŚĆ OGÓLNA

Problem Nr 5

(Paliwoda-Matiołański).

B:
♠ As.7.5.
♥ As.K.D.
♦ As.D.4.3.2.
♣ K.8.

X:
♠ D.W.10.9.8.
♥ W.10.9.
♦ K.10.
♣ W.6.2.



Y:
♠ 6.
♥ —
♦ 9.8.7.6.
♣ As.D.10.9.7.5.4.3.

A:
♠ K.4.3.2.
♥ 8.7.6.5.4.3.2.
♦ W.5.
♣ —

A rozgrywa kiery i robi szlemika. X atakuje damą pik. Podać przebieg rozgrywki.

Rozwiązanie problemu Nr 4

Rozgrywka dość zawiła. Istota rozgrywki polega na wymuszonych zrzutkach kontrpartnerów: przy czym końcowy sukces i efekt opiera się na zrzuceniu odpowiednich kart z dziadka obliczonych według zrzutek X, przy zatrzymaniu w ręce kart obliczonych na zrzutkach Y.

Pierwsza rozgrywka z usiłowanym przełapaniem trefli:

	X	B	Y	A
1 wyjście	pik D	pik K	pik 2	trefl 4
2 „	kier 2	kier K	kier 4	kier 3
3 „	karo 3	kier As	kier 5	kier 6
4 „	pik 3	pik 4	pik 8	kier 7
5 „	karo W	karo 4	karo 2	kier 8
6 „	trefl 10	trefl 2	trefl 3	kier 9
7 „	pik 6	karo 7	karo 5	kier 10
8 „	karo K	karo As	karo 8	karo 6
9 „	pik 9	pik As	trefl 8	trefl 6
10 „	pik 10	pik 5	karo 9	kier W
11 „	pik W	trefl 2	trefl 9	kier D
12 „	trefl W	trefl As	trefl D	trefl 7
13 „	trefl K	pik 7	karo D	karo 10
		2-gi wariant		
11 wyjście	trefl W	pik 7	karo D	kier D
12 „	pik W	trefl 2	trefl 9	karo 10
13 „	trefl K	trefl As	trefl D	trefl 7
		3-ci wariant		
11 wyjście	trefl W	pik 7	trefl 9	kier D
12 „	trefl K	trefl As	trefl D	trefl 7
13 „	pik W	trefl 2	karo D	karo 10

Druga rozgrywka z usiłowanym przełapaniem kar

	X	B	Y	A
1 wyjście	pik D	pik K	pik 2	trefl 4
2 „	kier 2	kier K	kier 4	kier 3
3 „	pik 3	kier As	kier 5	kier 6
4 „	pik 6	pik 4	pik 8	kier 7
5 „	karo 3	karo 4	trefl 3	kier 8
6 „	trefl 10	trefl 2	karo 2	kier 9
7 „	trefl W	trefl 5	karo 5	kier 10
8 „	trefl K	trefl As	trefl 8	trefl 6
9 „	pik 9	pik As	karo 8	karo 6
10 „	pik 10	pik 5	karo 9	kier W
11 „	karo W	pik 7	trefl 9	kier D
12 „	karo K	karo As	karo D	karo 10
13 „	pik W	karo 7	trefl D	trefl 7
		2-gi wariant		
10 wyjście	pik 10	pik 5	trefl 9	kier W
11 „	pik W	karo 7	karo 9	kier D
12 „	karo W	karo As	karo [illegible]	karo 10
13 „	karo K	pik 7	trefl D	trefl 7

KARYKATURA POLITYCZNA

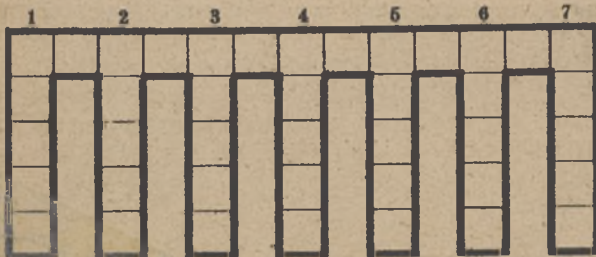


WIECZÓR NAD BOSFOREM Das Reich

ROZRYWKI UMYSŁOWE

ZAGADKA GRZEBIENIOWA

Ul.: Hałacz — Kraków

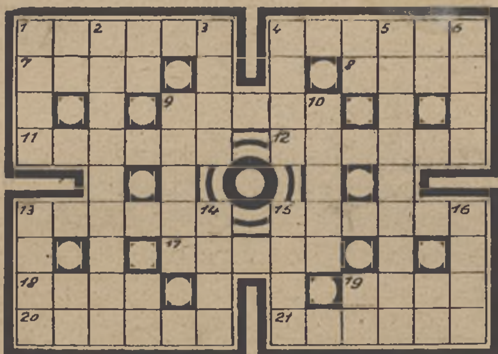


Znaczenie wyrazów:

1. św. księga mahometan, 2. bożek leśny, 3. in. dowód, 4. ryba, 5. miasto we Włoszech, 6. waga aptekarska, 7. prawo ludowe niektórych ludów słowiańskich. Uzupełniony rząd górny da nazwisko polskiego artysty-malarza.

KRZYŻÓWKA

Ul.: Kawalerowicz — Kraków



Znaczenie wyrazów:

Poziomo: 1. postać biblijna, 4. pierwiastek chemiczny, 7. część dachu, 8. góra w Szwajcarii, 9. roślina hodowana w starożytnym Egipcie, 11. gaz, 12. rodzaj sportowca, 13. spławiacz drzewa, 15. in. chodnik, 17. w przen. czelność, 18. opłata za przewóz, 19. tkane okrycie na ramiona, 20. owoc rośliny podzwrotnikowej, 21. in. woń.

Pionowo: 1. chemiczne składniki ciała ludzkiego, 2. malarz widoków morza, 3. jedna ze składowych części powietrza, 4. silny zmierzch, 5. prąd w budownictwie imponujący ogromem, 6. miasto w Serbii, 9. zapis otrzymany w spadku, 10. rodzaj poematu lirycznego, 13. in. wieść, 14. in. kierunek, 15. grube okrycie, 16. in. ubóstwianie.

ROZWIĄZANIE ZAGADEK Z NR. 46

W rzędach ukośnych

1—3. denar, 1—10. Diaz, 2—10. kłos, 2—11. kmin, 3—11. glon, 3—12. gran, 4—12. stan, 4—14. sobór, 5—18. Mantua, 5—21. monitor, 6—20. Riviera, 6—22. rogatka, 7—21. kawaler, 7—19. karaim, 8—20. natura, 9—22. Brahma, 13—23. ready, 14—26. rumor, 15—23. Grey, 15—24. grog, 16—24. morg, 16—25. mewa, 17—25. akta, 17—26. Amur.

KRZYŻÓWKA Nr. 1

Pionowo: 2. Ryga, 3. opar, 4. klika, 5. Tisot, 6. iglo, 7. Uran, 8. moda, 16. Kanada, 18. Siam, 19. nota, 20. oset, 21. Raba, 23. Aida, 24. tłok, 27. ura, 28. rum.

Poziomo: 1. Prosektorium, 9. typ, 10. glin, 11. gro, 12. ogar, 13. ślad, 14. bar, 15. skok, 17. ona, 18. szatan, 20. orgia, 22. Nogat, 25. as, 26. akurat, 29. ił, 30. maruda, 31. tał, 32. lama, 33. żak.

KRZYŻÓWKA Nr. 2

Pionowo: 1. akta, 2. Maas, 3. ornitolog, 4. rak, 5. toast, 6. East River, 7. brak, 8. Yama, 14. rad, 16. Euare, 17. Twer, 18. roje, 20. lora.

Poziomo: 1. Amor, 5. Teby, 9. Kara, 10. Sara, 11. tank, 12. masa, 13. a, s, i, 14. aktor, 15. teatr, 17. trąd, 19. Ilm, 22. Wola, 23. evoe!, 24. roje, 26. Eger, 27. Oran.

Do Niej

Przenigdy chyba sławy tak szalenie
nikt nie ubóstwiał jeszcze na tym świecie
jak ja cię wielbię, ubóstwiam i cenię!
I nigdy chyba, nigdy ku kobiecie
mężczyzny takich żądz nie parła siła
jak ja pożądam ciebie, snów mych kwiecie!
Kocham, miłuje, pragnę cię o miła!
Rwie się ku tobie każdy we mnie atom
nerw każdy we mnie chce byś moją była.
Cóż mi trud znaczy, gdyś ty zań zapłatą?
Co tylko zechcesz zrobię, nawet więcej...
bylem do serca mógł cię tulić za to.
Pewność, że padniesz znów w me chciwe ręce
złocista naga, jest ową przyczyną,
co skrzydeł i tej przydaje piosence
Niech wzleci głosić aniołom tercyną...
że w raj ten padoł przemieniasz od nowa...
ty, coś mi natchnień mych muzą jedyną,
cudna bankowa noto stuzłotowa!

Wujcio z Komina

STRATEGIA KOBIECA!

W pewnym starym grodzie żyła raz dziewica:
Przepięknej budowy i gładkiego lica.
Skromna i wstydliwa mimo swoich „latek“
Była jak ten lilii bielusieńki kwiatek.
A skromność jej była tak wielka i trwała:
Że żadna „pokusa“ dostępu nie miała!
Nawet na Apolla wcześniej nie spojrzała:
Póki mu z gazety — „sukni“ nie przywdziała,
A dopiero potem z ogromem zachwytu:
Oglądała dzieło od stóp — aż do szczytu!

I razu pewnego — to „dziecię niewinne“ —
Wybrało się w podróż — zwiedzać kraje inne;
A gdy będąc w Indiach — dżunglę poszła zwiedzać
Towarzyszem jej był: — Hipolit z Niedźwiedzia.
Według zdania wszystkich „typ“ iście wspaniały,
Lecz skromny, wstydliwy i wielce nieśmiały.

Gdy sam na sam w dżungli byli już głęboko:
Wtem jej niespodziewanie — muszka wpadła w oko!
Przejął się tym bardzo! — niech-że pani spocznie,
Wezmę tylko chustkę — i wyjmę niezwłocznie.
Usiadła i nagle: — Ach, wąż ugryzł mnie!!!
On — zabija węża! — i pyta się gdzie?
Gdzie?!? — ach, nie mogę... wstydzę się powiedzieć!
Prędzej! — naglił — prędzej! Ja to muszę wiedzieć!
Ranę trzeba wyssać — niech pani nie zwleka,
Gdyż jad ten w minucie zabija człowieka!

Ach, o tym wyssaniu nie może być mowy!
Co za dziwny pomysł wpadł panu do głowy?
Ależ droga pani!... czas nagli... śmierć kroczy!...
Więc dobrze! — lecz warunek: — niech pan zamknie oczy!
— — — — — — — — — — —
A po kilku latach — (już jako małżonek)
Wziąwszy na kolana swoją „słodką“ żonę,
Rzekł jej smutnym głosem przepojonym skruchą:
Wiesz... dziś chcę ci coś wyznać cichutko na ucho: —
Pamiętasz... z tym wężem... com zrobił z nim koniec?...
On... nie był jadowity... poprostu... zaskroniec...
Przerwała mu z uśmiechem: — Mój słodki cymbale,
Przecież ten wąż wtedy — nie ugryzł mię wcale!

Eugeniusz Lotar

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

ARGUMENT

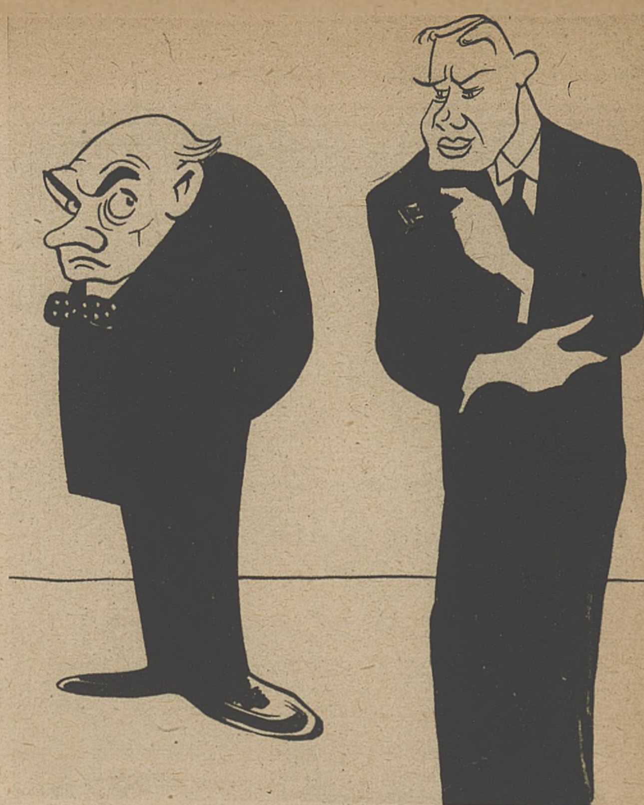
Raz osła zapytałam grzecznie: — Niech pan powie,
czy to pana naprawdę nie boli... nie drażni...
i nie pika w ambicję... — że od wieków człowiek
głupca nazywa zawsze osłem najwyraźniej...
lub upartych nazywa „uparty jak osieł“!
Czemu pan nie spróbuje zaprzeczyć najprościej?
Za niedyskrecję bardzo przepraszam — i proszę
wybaczyć mi, bo pytam tylko z życzliwości!! —
Osieł ryknął uprzejmie: — Ach, wybaczam pani
i najchętniej udzielę drobnej informacji:
— Nie próbuję zaprzeczać, bo wiem, że to na nic!
Jak wytłumaczyć OSŁOM, że nie mają racji??...

JA TEŻ CHCĘ...

(Te medytacje — Niepocieszonym...)

Takie już prawo życia jest twarde
że łysi ludzie budzą pogardę,
lub śmiech conajmniej. Tak samo tacy
co zębów mają mniej niźli palcy
u jednej ręki — wstrętu są treścią
i antypatię czują niewieścią...
Lecz dzisiaj myślę, aż ściskam skronie
i wymyśliłam wreszcie, że to nie
jest słuszne. Ileż trza wypić wody(?)
nim człek się stanie z głupiego mądry
i mózg ostatni włos z głowy zwieje... —
bo głupia głowa wszak nie łysieje!!
Skrzypi mi w mózgu, że człowiek starszy
dlatego, dziąsły próżnymi straszy
że wszystkie zęby zjadł na mądrości.
Tych argumentów dwóch jest już dość mi:
to wszystko oto jasnym dowodem
żeśmy — geniuszów samych narodem ... ...
Głowa od faktu puchnie jak balia —
czyż trzeba jakieś brać personalia?
pytać o dyplom? tytuł? nazwisko?
Jedno spojrzenie — powie ci wszystko.
Jeżli tkwi włosów parę gdzieniegdzie,
wiedz: to inżynier napewno będzie!
Gdy głowa łysa jest jak nowotwór,
pewien być możesz: to jakiś doktór.
Gdy po dwa zęby tkwią z każdej strony
możesz być pewien: to jest uczony.
Jeżli ni jednym zębem nie błyska
możesz przysięgać, że to — Noblista! — —
Chcę żeby świat mnie szacował cały:
idę łeb zgolić do gołej pały,
a zęby (psiakrew... zdrowe, jak konie!)
każę dentyście wyrwać — i koniec.

Krysta Opalińska



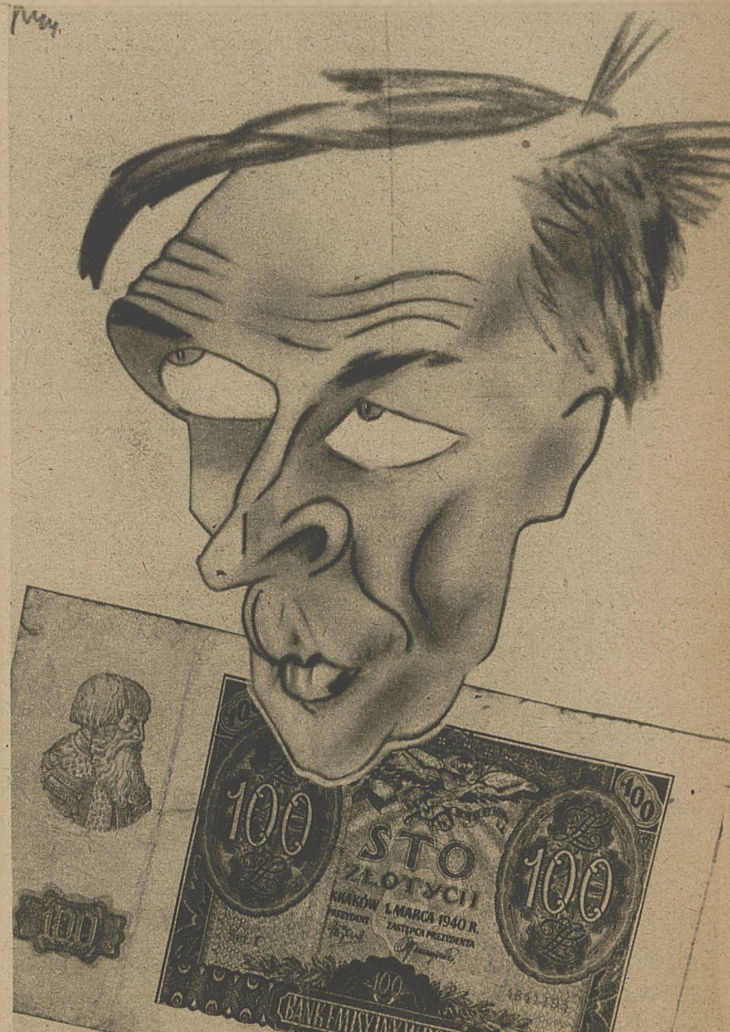
— Panie sąsiedzie, żona panu pewnie wczoraj bardzo wymyślała, że pan tak późno w nocy wrócił do domu?
— Czy pan co słyszał?
— Nie, ale w moim mieszkaniu obraz zleciał ze ściany...

Rys. J. Paluch — Kraków



...Stwierdzam, że byłaby dobrym materiałem na żonę... z pewnością nie doszłoby nigdy do rękoczynów...

Rys: Czecha — Kraków

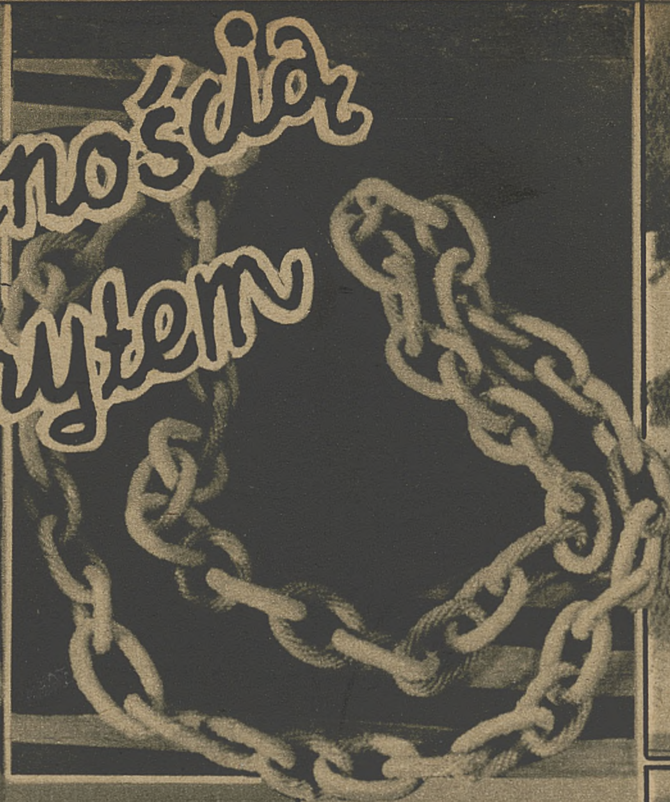


WUJCIO Z KOMINA I JEGO JEDYNA

Rys. Paliwoda-Matiolański — Kraków

Zręcznością i sprytem







Powyżej:
Biała bluzeczka w skośne pasy z wszytymi prostopadle do nich koronkami. Koronki wyprute ze starego żabotu nadają bluzeczce modnego szyku.

Na prawo:
A oto zgrabny szlafroczek z zasłony okiennej. Po zaprowadzeniu ścisłego zaciemnienia zasłony l e ż ą nieczynne. Niechże więc służą innym celom.



Powyżej:
Łańcuchy, które przykuwają . . . oczy płci brzydkiej swym blaskiem i oryginalnością. Splecione z drobniutkich perełek jaśniejszego i ciemniejszego koloru.

Na prawo u góry:
Stary, wytarty miejscami płaszczyk, jeżeli się nie da przenicować, może służyć jeszcze doskonale na zimową suknię z szeleczkami. Do tego bluzeczka z mężowskiej p i ż a m y, i komplet zimowy gotowy.

Na prawo:
Skromna biurowa sukienka z materiału jedwabnego, jakich wiele spotyka się teraz. Można k u p i ć na punkty.





Na lewo:
Najmodniejszy materiał na płaszcze jesienne: koc wełniany. Płaszczyk f a ł d z i s t y, z paskiem z przodu związanym i kołnierzem z rysia, jest nieomal luksusowym, jak na wojenne czasy, okryciem.

Fot: Eurofot 6, Atlantik 1.

Na prawo:
Sukienka z ręcznie tkanego materiału z paskami z wplatanych grubych nitek czerwonych. Sam materiał niebieski. Wielki kołnierz marynarski związany z tyłu czerwonymi sznurami.



NAJNOWSZA MODA ZE STARYCH SUKIEN

Ciągłe zmiany mody doprowadzały zawsze do rozpaczy i wściekłości mężów i ojców dorosłych córek. Panie natomiast promieniały szczęściem, gdy mogły pokazać się coraz to w nowych kreacjach. Moda jest srogą tyranką. Dzięki niej mężowie nie mogli spać po nocach rozmyślając skąd by wziąć pieniądze na zaspokojenie zachcianek żon, a panie również nie zmrużyły oka zastanawiając się jaką kreację wybrać, aby swoje rywalki zakasować. Jedna i druga strona były nieszczęśliwe i rady na to znaleźć nie mogły. Wojna przyniosła ulgę obydwu stronom. Mężowie nie mają kłopotów z kupnem, a kobiety z rywalizacją o to, kto lepiej ubrany. Rywalizuje się teraz kto lepiej zrobi coś z niczego, a raczej kto ładniej zrobi coś gustownego, przydatnego, ze starych sukien, płaszczy, zasłon, firanek, dywanów, kilimów, serwet itp. I obydwie strony są zadowolone. Czasem się wspomni z łezką w oku o tych dawnych dobrych czasach, kiedy to był kłopot, którą suknię ubrać . . . Teraz jeżeli jest kłopot z ubraniem, to tylko o to w co się ubrać. Ale więcej zadowolenia odczuwa się teraz z zręcznej przeróbki, niż dawniej z kosztownych paryskich kreacyj. Własna praca, własny wysiłek, uwieńczony powodzeniem, dają większe zadowolenie, niż dawniej rzucanie pieniędzy na prawo i lewo. Dlatego, panie, bądźcie zadowolone, że nie macie wyboru w strojach! Ubył jeden kłopot z głowy, kłopot największy i najkosztowniejszy.